

Peters Sue

Do Indii po meža

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Już trzeci raz jesteś druhną. To się może źle skończyć, moja mała - żartował z siostry Oliver. - Nie wiesz, że kto trzy razy drużbuje, sam nigdy nie ślubuje?
 - Daj mi spokój - jęknęła Dee. - Mama powiedziała mi na ten temat wszystko, a nawet więcej.
 - Dobrych rad nigdy nie za dużo - roześmiał się Oliver, podając jej talerzyk z kawałkiem weselnego tortu.
 - Nie przepadam za tortami. - Dee lekko zmarszczyła nosek. - Może uda mi się jakoś przemycić go Scruffy'emu. Uwielbia taki kleisty marcepan.
 - Cała ty - roześmiała się żona Olivera. Była w zaawansowanej ciąży. Siedziała, dysząc ciężko, na jednym z nielicznych krzeseł ustawionych pod wielkim namiotem. - Żadna inna kobieta nie wpadłaby na pomysł, żeby karmić psa weselnym tortem. Normalna panienka zjadłaby go z apetytem albo schowałaby pod poduszkę, żeby jej się przyśnił przyszły mąż.
 - A czy tobie śnił się Oliver, gdy byłaś panną?
 - To nie było konieczne. Śniliśmy o sobie, odkąd poznaliśmy się w szkole.
- Dee się skrzywiła. Nie lubiła takiego zaplanowanego, nudnego życia. O tym, że Oliver ożeni się ze swoją szkolną koleżanką, wiedziano od lat. Dee nie wyobrażała sobie, że ona mogłaby wyjść za mąż za kogoś, kogo zna od zawsze.

Odbywający się właśnie ślub młodszej siostry, na którym po raz trzeci była druhną, również nie był dla Dee żadną atrakcją. Ślub Olivera przed rokiem odbył się według tego samego scenariusza, a dwa lata temu identyczną uroczystość zorganizowano dla ich starszej siostry.

Dee spojrzała na nowożeńców, ściskających dłonie jakichś spóźnionych gości. Nie miała wątpliwości, że mówili w tej chwili dokładnie to, co wypada powiedzieć przy takiej okazji. Nudy na pudy, pomyślała.

Nowy szwagier był całkiem sympatyczny. Tak samo zresztą jak poprzedni, i jak ciężarna bratowa. Niestety, wszyscy oni byli całkiem zwyczajni, czasami nawet troszeczkę nudni. Dee marzyła o dalekich podróżach, ciekawych przygodach i egzotycznych znajomościach. Miała dopiero dwadzieścia trzy lata i nie zamierzała rezygnować z życia na rzecz za wątpliwego przywileju noszenia złotej obrączki.

Jeszcze rok temu nie była aż tak zbuntowana, lecz minęło dużo czasu i teraz Dee była zupełnie innym człowiekiem niż dwanaście miesięcy temu. Odkąd dowiedziała się prawdy o Alanie, bardzo się zmieniła.

Nie będę teraz o tym myśleć, postanowiła. Nudny czy nie, to w końcu jest ślub mojej siostry.

- Dobrze, zjem ten tort - powiedziała. Miała nadzieję, że bliscy nie usłyszeli w jej głosie goryczy, jaka ogarniała ją zawsze, gdy myślała o tamtej historii. - Małżeństwo i tak już mi nie grozi. Trzy razy družbowałam, więc chyba wykupiłam sobie polisę ubezpieczeniową od tego nieszczęśliwego wypadku.

- Nie znam nikogo, kto tak bardzo broniłby się przed miłością - zauważyła rozbawiona bratowa Dee. - Zwłaszcza dziewczyny.

Rodzina Dee nic nie wiedziała o Alanie. Tylko dlatego uważano ją za całkowicie odporną na miłosne porywy. Gdyby tylko znali prawdę...

- Co w tym złego, że człowiek chce przejść przez życie bez stałego towarzysza? - zapytała Dee.

- A ty w kółko to samo. Miłość nie będzie na ciebie wiecznie czekać. Zobaczysz, że w końcu zostaniesz starą panną i do śmierci będziesz się kurzyła w jakimś ciemnym kącie. Wtedy już będzie za późno na wszelkie żale.

- I tak mnie nie przekonasz. - Dee zdecydowanie pokręciła głową.

- Dziewczyna nie powinna tracić tylu okazji - pouczała ją bratowa. - Wychowałam się w miasteczku uniwersyteckim, gdzie studentów jest więcej niż stałych mieszkańców. Faceci w dowolnych rozmiarach i gatunkach, z szerokimi horyzontami. Nie uwierzę, żeby któryś z nich nie zawrócił ci w głowie. Zapraszają cię na wszystkie imprezy, jakie się tu odbywają, bo jesteś atrakcyjna, a nie dlatego, że twój ojciec jest profesorem. Ale i to się kiedyś skończy, moja droga.

Dee naprawdę była śliczna, a jej wielkie oczy potrafiły rzucić urok na każdego. Ani ojciec profesor, ani nawet matka, najbardziej aktywna swatka w całej okolicy, nie zapewniliby córce popularności, jaką jej gwarantowała wyjątkowa uroda.

- Czy naprawdę żaden z tych młodych ludzi nigdy nie zrobił na tobie wrażenia? - dopytywała się żona Olivera.

- Mhm - mruknęła Dee.

Nie wyjaśniła, czy ma to być odpowiedź twierdząca, czy może raczej gorliwe zaprzeczenie. Pełna buzia tortu dawała jej prawo nieudzielania odpowiedzi na tak niedyskretne pytanie.

Alan nie był studentem, a mimo to zrobił na niej niesamowite

wrażenie. Stał się pierwszą prawdziwą miłością Dee, ona zaś okazała się dla niego nikim. Przekonał ją o tym w bardzo brutalny sposób.

Alan był architektem. Przyjechał do miasta, żeby pomagać przy renowacji elementów kamiennych odkrytych podczas remontu jednego z kolegów. Odkąd tylko zobaczył Dee wracającą do domu, na krok jej nie odstępował.

Dee przywykła do towarzystwa młodzieńców mniej więcej w swoim wieku, toteż zainteresowanie dorosłego mężczyzny bardzo jej zaimponowało. Alan błyskawicznie ją zawojował. Wygadany, elegancki, światowy... Dee była przy nim naiwna jak dziecko i - jak dziecko - całkowicie bezbronna. Aż nadszedł ten straszny dzień, a raczej wieczór. Siedziała z Alanem w eleganckiej restauracji, gdy nagle do sali weszła ciężarna kobieta - żona Alana. Zrobiła potworną awanturę.

Dee była zaskoczona, przerażona, zdruzgotana. Miała jednak tyle przytomności umysłu, żeby poprosić Alana o wyjaśnienia. Właśnie wtedy dowiedziała się, że była dla niego nikim. Przypomniał, że nigdy nie obiecywał jej małżeństwa, czego zauroczona, zaślepiona miłością nawet nie zauważyła. A on rzeczywiście nigdy nie wspominał o tym, że ożeni się z Dee, a że na rozmaite sposoby dawał to do zrozumienia, to już zupełnie inna historia. Dee sama była sobie winna, że tak a nie inaczej zinterpretowała jego słowa.

Na pociechę miała tylko tyle, że restauracja znajdowała się poza miastem i że akurat tego dnia nie było w niej nikogo znajomego. Nikt zatem nie był świadkiem jej upokorzenia, nikt nie mógł donieść rodzinie o tym, co się wydarzyło.

Wyłącznie dzięki temu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności cała rodzina nadal uważała Dee za osobę całkowicie odporną na strzały Amora.

A ona tymczasem długo lizała rany. Dużo czasu minęło, zanim znów mogła spojrzeć światu w oczy. Za to kiedy spojrzała, wiedziała dokładnie, czego od tego świata oczekuje, czego oczekuje od życia. W jej planach nie było już miejsca dla mężczyzny. Nie miała zamiaru, nie chciała już nigdy więcej zaufać żadnemu z nich. Postanowiła przeżyć życie samotnie i poświęcić się karierze zawodowej. Koniecznie takiej, która pozwoli jej zwiedzić cały świat.

Ambicje zawodowe wydawały się bezpieczniejsze niż sidła miłości. Poza tym na świat zawsze mogła liczyć. Nie opuści jej, nie będzie się mętnie tłumaczył i nie zniknie, zostawiając ją samą rozbitą na drobne kawałki.

Akurat w tym czasie w jej mieście otwarto firmę kurierską. Dee wreszcie mogła spełnić swoje marzenia o dalekich podróżach. Zgłosiła się do pracy. Nie pytana oświadczyła swemu przyszłemu szefowi, że ani teraz, ani w przyszłości nie zamierza się z nikim wiązać. Powiedziała też o tym, jak bardzo chciałaby podróżować. Zwiedzanie świata było dla niej najważniejsze, a ponieważ nie da się zapakować męża do walizki, wiedziała, że musi się bez niego obejść.

Właściciel firmy był trochę zdziwiony jej stanowczym oświadczeniem, ale chętnie przyjął Dee do pracy. Była młoda, ładna i pełna szczerego entuzjazmu. Dlaczego miałby jej nie zatrudnić?

- Nie licz na żadną polisę. - Oliver pozbawił siostrę złudzeń. - Ja już mam żonę, a Jane i Felicity mężów, więc teraz mama zabierze się za ciebie. Sama wiesz, że to najlepsza swatka

w całym Układzie Słonecznym. Idę o zakład, że najdalej za rok o tej porze będziesz się zajadała tortem na własnym weselu.

- Brednie. - Dee zebrała z talerzyka okruszki i oblizała palec. - Przegrasz z kretešem. Postanowiłam zostać panną i nic tego nie zmieni. A kiedy mama ochłonie po tej imprezie - Dee znacząco rozejrzała się po tłumie eleganckich gości - będę już daleko stąd. Nawet jej długie ręce nie sięgają do Indii.

- Mama może cię nie dopadnie, ale przed Amorem nie uciekniesz, choćbyś się w mysia dziurę schowała - przestrzegała ją bratowa. - Może gdybyś była brzydka, toby cię oszczędził, a tak, nie masz żadnych szans.

- Owszem, mam. - Dee ani myślała dać się zastraszyć. - Wystarczy, że ciągle będę w drodze. Będę podróżować szybko i daleko, wtedy i on nic mi nie zrobi.

Dee była kurierem w WW, dzięki czemu mogła podróżować szybko, daleko i ciągle być w drodze. Na pewno nic jej nie groziło. Przynajmniej ze strony Amora.

Nazwę firmy tworzyły inicjały jej właściciela, Williama Williamsa, którego nie tylko przyjaciele, ale i pracownicy poufale nazywali Billem. Bill szczycił się tym, że jego firma była w stanie natychmiast dostarczyć lub odebrać przesyłkę niemal w każdym miejscu kuli ziemskiej. Miał cały sztab własnych, doskonale wyszkolonych, zawsze dyspozycyjnych kurierów, a także własną ochronę. Dzięki temu klienci mogli mieć pewność, że ich drogocenne przesyłki będą pod fachową opieką.

Oczywiście, taka usługa nie mogła być tania. WW zajmowała się tylko bardzo kosztownymi przesyłkami, lecz firma miała tak dobrą reputację, że Bill nigdy nie narzekał na brak zleceń.

Światowej sławy jubilerzy, złotnicy, ludzie trudniący się handlem antykami i dziełami sztuki tak często korzystali z jego

usług, że gdyby musieli zgłaszać się osobiście, wydeptaliby nie tylko drogę do jego drzwi, ale nawet dość głęboki wąż.

Pod naciskiem klientów WW musiała rozszerzyć działalność o organizowanie wystaw. Właśnie w związku z jedną z takich wystaw Dee wkrótce wylatywała do Indii po antyczną biżuterię, która miała się stać ozdobą planowanej przez Billa wystawy rzemiosła artystycznego.

Dotąd Dee kursowała tylko po Europie. Podróż do Indii miała być jej pierwszą wyprawą do dalekiego kraju. Nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu, gdy Bill wezwał ją do siebie.

- Dzisiaj masz zlecenie do Rzymu - powiedział, wręczając jej dokumenty. - Potem dostaniesz parę dni na przygotowanie się do następnej podróży. Przywieziesz mi z Delhi klejnoty maharadzów.

- Delhi! - zawołała, nie mogąc ukryć radości.

- Delhi - powtórzył Bill. - Najwyższy czas, żebyś zaczęła rozwijać skrzydła. Tylko mi z tej radości nie zapomnij o klejnotach - zażartował.

Ale Dee wiedziała, że szef jest z niej zadowolony. W przeciwnym razie nigdy by jej nie powierzył takiego ważnego zadania. Nie posiadała się z radości.

- Organizujemy wystawę rękodziela artystycznego z rozmaitych epok - tłumaczył Bill. - Sponsorami są wszystkie cechy, ale wystawiać będziemy głównie biżuterię, wyroby złotnicze i ceramikę.

- Tylko z Indii?

- Nie tylko. Ekspozycje przyjadą z całego świata: z Egiptu, z Indii, z Japonii. No, jednym słowem, zewsząd. Oczywiście także z krajów europejskich. Te europejskie zabiorą kurierzy, którzy jadą w przyszłym tygodniu- do Paryża. Ty odbierzesz

eksponaty indyjskie. Skontaktujesz się z naszym przedstawicielem w Delhi.

- Jak duże będą i czy bardzo ciężkie? - zapytała. Rozmiar oraz ciężar przesyłki był bardzo ważny. Od tego

zależało, jak będzie pakowana i jakim środkiem transportu się ją przewiezie. Małe przesyłki latały samolotami, wielkie podróżowały okrętem lub pociągiem. A od tego z kolei zależało, jak długo Dee będzie poza domem i ile bagażu ma zabrać ze sobą.

- Powinny być małe i lekkie, ale dokładnie nie wiem. Nasz przedstawiciel w Delhi sam zdecyduje, co przysłać na wystawę. Powiedziano mi tylko tyle, że większość przesyłki to biżuteria, więc pewnie wrócisz samolotem.

- Gdzie zorganizujesz wystawę?

- Na pewno w Wielkiej Brytanii, ale jeszcze nie zdecydowałem, w którym miejscu. Jeśli będzie trzeba, przechowam eksponaty w naszych sejfach dopóty, dopóki nie znajdę odpowiedniego miejsca na ich wystawienie. Dostałem już propozycję z National Exhibition Centre pod Birmingham.

- Ale nie bardzo ci to odpowiada - domyśliła się Dee.

Bill wielokrotnie organizował wystawy w tym centrum wystawowym i bardzo dobrze się wyrażał o tamtejszych warunkach, ale teraz najwyraźniej potrzebna mu była wyjątkowa oprawa.

- To wspaniałe miejsce, ale do tej ekspozycji się nie nadaje - potwierdził jej przypuszczenia. - Przede wszystkim nie potrzebujemy aż tyle przestrzeni. To będzie pokaz wyłącznie dla zaproszonych gości, więc wystarczy mi coś bardziej kameralnego. Zresztą w tej sytuacji możemy zawiadomić o otwarciu dosłownie w ostatniej chwili.

- Uważaj, żeby się nie okazało, że eksponatów jest więcej niż zwiedzających.

- Jeśli się wystawia bezcenne klejnoty, to ze względów bezpieczeństwa trzeba ograniczyć liczbę gości. Zresztą ta wystawa będzie przeznaczona wyłącznie dla specjalistów. No, może wpuścimy tam kilku drobniejszych kolekcjonerów, ale tylko tych najbogatszych. Choćby z tego powodu chciałbym pokazać tę biżuterię w jakimś miejscu, które podkreśli jej wyjątkowość.

- Na przykład w zamku Windsorów - roześmiała się Dee.

- Całkiem niezły pomysł. - Bill miał taką minę, jakby rzeczywiście poważnie rozważał jej propozycję. Zaraz jednak przypomniał sobie, po co ją do siebie wezwał. - Przygotuj się do drogi. Przed wyjazdem musisz się zaszczepić, więc zacznij od wizyty u lekarza. Dostaniesz co najmniej cztery zastrzyki i wszystkie bolesne jak diabli.

Warto było pocierpieć. Już pierwszy rzut oka na Indie zrekompensował jej zarówno ból towarzyszący przyjmowaniu zastrzyków, jak i paskudne samopoczucie, które potem ją ogarnęło. Na lotnisku było tłoczno, głośno i kolorowo, ale John Smith, przedstawiciel firmy, który przyjechał po Dee na lotnisko, poruszał się w tym tłumie jak po własnym podwórku.

- Jak tam po podróży? - zapytał, gdy wyłowił jej walizkę spośród sterty bagaży wrzuconych na taśmę.

- Bardzo się zmęczyłaś?

- Jestem przyzwyczajona - odparła, rozglądając się po tym egzotycznym świecie.

John prowadził ją przez jazgotliwą ciżbę handlarzy nie wiadomo czym. Dee uśmiechała się do nich uprzejmie i stanowczo kręciła głową. W końcu dali się przekonać, że nie wyduszą z niej ani jednej rupii, i poszli nagabywać innych przybyszów.

- Masz ochotę coś zjeść? - zapytał John, pakując jej bagaże do samochodu.
- Dziękuję, nie jestem głodna. - Pokręciła głową i uśmiechnęła się uprzejmie. Tak samo jak do handlarzy. - Jadłam w samolocie, ale chętnie napiłabym się herbaty.
- Wobec tego jedziemy prosto do hotelu - zdecydował John. - Rozpakujesz się, przebierzesz, a potem sobie pogadamy.

Dopiero kiedy wyjechali z lotniska, zrozumiała, dlaczego John nie chciał z nią rozmawiać w samochodzie. Uprzedził ją, że pojedą krótszą drogą przez stare Delhi, lecz Dee nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie spodziewała się, że tak może wyglądać ruch w mieście. Dziękowała Bogu, że to nie ona musi prowadzić samochód.

Nawet w Paryżu nie było tak tłoczno jak tutaj. Samochody i motorowe riksze poruszały się po tej samej wąskiej ulicy co wozy zaprzężone w woły i obładowane towarami osiołki. Riksze były maleńkie, przeznaczone do przewozu co najwyżej dwóch osób, a tymczasem niektóre z nich woziły nawet po pięć. Nic dziwnego, że nie było widać pojazdu spod oblegających go drobnych sylwetek. Skręcili w boczną uliczkę. Przed maską samochodu kłębił się zwarty tłum ludzi i zwierząt. Dee wydawało się, że jest nieprzenikniony jak mur. Wśród zwierząt wszelkich możliwych gatunków i rozmiarów dostrzegła nawet słonia. Na szczęście był na tyle daleko, że mogła na niego patrzeć bez strachu.

- Musimy zawrócić - zawołała. - Nie przedostaniesz się przez tę ciżbę.
- A czemu by nie? - John wzruszył ramionami.

Nie zwolnił, tylko mocno wcisnął klakson. Podziało jak zakłęcie. Ludzie i ich zwierzęta rozstępowali się przed trąbiącym wniebogłosy i jadącym szybko samochodem. Dee pomyślała, że do takiej jazdy trzeba mieć nerwy jak postronki.

- Uważaj! - krzyknęła, dostrzegłszy kątem oka małego chłopca przebiegającego ulicę dosłownie centymetr od zderzaka.

John gwałtownie skręcił kierownicę. Ominął dziecko o włos, wrócił na poprzedni kurs, ale zaraz znów skręcił, bo trzeba było minąć krowę, skubiącą marchew przy ulicznym straganie z jarzynami.

Dobrze, że zapięłam pas, pomyślała Dee. Gdyby nie to, chyba już dawno wypadłabym przez okno. Byłaby zamknęła oczy, ale nie mogła ich oderwać od bajecznie kolorowej ulicy.

Jaskrawe plamy turbanów zawiniętych w przemyślny sposób na głowach mężczyzn, barwne sari z cieniutkich jak mgiełka tkanin, jakimi otulone były kobiety. Wszyscy ci ludzie wyglądali jak kolorowe motyle i zachowywali się tak, jakby upał i kurz w ogóle nie istniały. A przecież im też musiały dokuczać.

- Przykro mi, że trafiłaś na największe upały - powiedział John. - Na szczęście w tym roku jest trochę chłodniej niż zwykle. Temperatura już zaczęła spadać.

- Upał mi nie przeszkadza - odparła Dee z przekonaniem człowieka, który nie wie, o czym mówi. - Zresztą zostanę tu najwyżej trzy dni.

John tylko się roześmiał. Dee nie wiedziała, co go tak ubawiło. Wprawdzie nie miała na bilecie rezerwacji na powrót, ale w tej pracy nie było to niczym niezwykłym. Kurierzy nigdy dokładnie nie wiedzieli, ile czasu zajmie im odebranie przesyłki czy załatwienie wszystkich formalności niezbędnych do jej przetransportowania. A Bill ufał swoim ludziom i wiedział, że bez potrzeby nie przedłużą pobytu w obcym kraju.

Gdyby nie śmiech Johna, Dee pewnie nawet by nie pomyślała o swoim bilecie.

Ulica stała się jeszcze bardziej ruchliwa i John w końcu jednak musiał zwolnić. Na skraju jezdni rozłożyli swoje kramy sprzedawcy przypraw. Przez otwarte okno wpłynął do samochodu odurzający zapach wanilii, cynamonu, goździków i tysiąca innych korzeni, których Dee nie tylko nie umiała rozpoznać, ale nawet nie wiedziała o ich istnieniu. W głowie jej się kręciło od tych zapachów, kolorów, od nieustannego ruchu krzykliwego tłumu.

- Jesteśmy w nowym Delhi - objaśnił John, gdy wjechali na szeroką dwupasmową jezdnię.

Dee znów znalazła się w cywilizowanym świecie. Zastanawiała się nawet, czy tamta kolorowa ulica przypadkiem jej się nie przyśniła. Jednak zaraz przypomniała sobie, że w przewodniku, czytany przez nią w samolocie, napisano, że Indie to kraj wielkich kontrastów.

Hotel, w którym zamieszkała, był nowoczesnym budynkiem otoczonym ogromnym zielonym trawnikiem. Od miejskiego zgiełku oddzielał go szpaler palm daktylowych.

- Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie - powiedział John, zatrzymując samochód przed głównym wejściem.

Dee nie miała wątpliwości, że będzie jej wygodnie. Luksusowo wyposażone wnętrze hotelu zapowiadało wszelkie wygody.

Szkoda, że mam tak mało czasu, pomyślała. Mogłabym tu przemieszkać nawet cały tydzień. Tyle by mi chyba wystarczyło, żeby poznać miasto.

John dał jej zaledwie godzinę na odświeżenie się po podróży. Potem mieli obejrzeć eksponaty przeznaczone na wystawę.

Wzięła prysznic, przebrała się i napiła herbaty, którą John przezornie kazał przysłać do jej pokoju. Tak pokrzepiona mogła zejść do holu, gdzie czekał na nią jej towarzysz.

- To niedaleko stąd. Zresztą tym razem pojedziemy przez nowe Delhi - obiecał John.

Dotrzymał słowa. Jechali szeroką dwupasmową ulicą i już po dwudziestu minutach wchodzili do wielkiego budynku, siedziby poważnego banku.

Gdyby Dee miała jeszcze jakiejkolwiek wątpliwości co do wartości przedmiotów, po które posłano ją do Indii, straciłaby je na widok grubych ścian i masywnych drzwi sejfów, w jakim je przechowywano.

- Ależ to piękne! - wykrzyknęła, gdy strażnik otworzył kasetkę. - Co za delikatna robota, jaki zmysł artystyczny! Ciekawe, jak to jest, kiedy ma się tyle pieniędzy, że można sobie pozwolić na noszenie takich cudeniów.

- Obawiam się, że ani ja, ani ty nigdy się tego nie dowiemy - stwierdził John bez cienia emocji.

Widocznie długi pobyt w Indiach przyzwyczyił go do obcowania z dziełami sztuki należącymi do kogo innego.

W inkrustowanym drogimi kamieniami passe-partout umieszczono przepiękne miniaturowe wisiorki z drogich kamieni, z których każdy był maleńką, misterną rzeźbą.

W drugiej kasetce znajdowała się kolekcja naszyjników, kolczyków, pierścionków oraz bransolet, zarówno tych noszonych na rękach, jak i tych na nogi. Wszystkie były wykonane ze złota i ozdobione drogimi kamieniami.

- Oczywiście nie możesz jechać z tym sama - powiedział John. - Dostaniesz ochronę na drogę powrotną do Londynu.

Dee skinęła głową. Zdarzało się, że klienci życzyli sobie

ochrony dla kuriera, czasami nawet sami wybierali człowieka, który miał eskortować przesyłkę. Choć zdarzało się też, że kurierzy Billa sami przewozili nawet bardzo cenne przedmioty. Przesyłki zawsze były ubezpieczone na kosmicznie wysokie sumy.

Ale te wszystkie lśniące cuda były zbyt piękne i zbyt kosztowne, żeby odważyła się przewozić je zupełnie sama. Dee z wdzięcznością pomyślała o zapobiegliwości klienta, który wolał nie ryzykować, że dostanie mnóstwo zwyczajnych pieniędzy za te niepowtarzalnie piękne dzieła sztuki. Oczywiście, w razie jakiegoś nieszczęścia, które zresztą jak dotąd nigdy żadnego z kurierów Billa nie spotkało. Kurierzy byli doskonale przeszkoleni. Dee także przeszła kurs samoobrony i dobrze wiedziała, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażony jest pojedynczy, nawet najlepiej przeszkolony i uzbrojony człowiek wiozący ze sobą bezcenną biżuterię. Jeśli będzie miała w podróży towarzysza, ryzyko zmniejszy się dokładnie o połowę.

Z trudem oderwała oczy od olśniewających klejnotów.

- To jeszcze nie wszystko - odezwał się John. - Wciąż czekamy na przyjazd kilku eksponatów.

Zamknął kasetki i oddał strażnikowi, a ten umieścił je powrotem w sejfie.

- Zanim przyjadą - mówił John tak obojętnie, jakby chodziło o dostawę ziemniaków - przygotuję wszystkie dokumenty niezbędne do wywozu tej przesyłki z Indii.

- Daj mi znać, kiedy nadejdą - poprosiła Dee. - Natychmiast zarezerwuję sobie najbliższy lot do Londynu. Jutro będę przez cały dzień w hotelu.

- Naprawdę nie ma potrzeby - uśmiechnął się John. - Szkoda twojego czasu. Jesteś w Indiach, powinnaś zobaczyć wszystko, co tylko zdołasz. Drugi raz taka okazja może ci się nie trafić.

Oczywiście, bardzo by chciała zobaczyć jak najwięcej z legendarnych Indii, ale przecież nie przyjechała tu na wycieczkę. Bill miał zaufanie do swoich kurierów. Wiedział, że nie tracą czasu na darmo, nie nadużywają jego pieniędzy. Dee w żadnym wypadku nie chciała zawieść zaufania szefa.

- Jeśli pójde zwiedzać miasto i nie będzie mnie w hotelu, kiedy zadzwonisz, to potem może się okazać, że już nie ma miejsc na wieczorny lot do Londynu - oświadczyła stanowczo.
- Jutro na pewno nie polecisz. - John uśmiechnął się pobłaźliwie. Zaczynało ją irytować, że traktuje ją jak naiwne dziecko. - Najwcześniej za dwa dni, a i to jeśli będziesz miała szczęście. Albo raczej pecha. Naprawdę masz mnóstwo czasu, żeby sobie pochodzić po Delhi. Nawet jeśli reszta eksponatów przyjedzie prędko, w co wątpię, to człowiek, z którym masz wracać do Londynu, nie będzie gotów wcześniej niż w czwartek, a i to nie na pewno.
- Ale to przecież pięć dni! - zaprotestowała. Podziwiała mądrość Billa, który dotąd nie zdecydował o miejscu i terminie pokazania wystawy. Gdyby wszystko zostało ustalone wcześniej, to mogłoby się zdarzyć, że najpiękniejsze eksponaty - nie miała wątpliwości, że to, co przywiezie z Indii, będzie ozdobą wystawy - nie zdążą dotrzeć do Londynu na czas.
- Kimkolwiek jest ten człowiek, powinien... - zaczęła, ale John nie dał jej dokończyć zdania.
- To Lukę Ransom - wyjaśnił. - Może już go poznałaś.
- Lukę Ransom? Ten kolekcjoner i sprzedawca antyków?

- Ten sam.

- Dużo o nim słyszałam, ale nigdy nie miałam okazji poznać go osobiście.

Nie mogła o nim nie słyszeć. Był królem kolekcjonerów i antykwariuszy. O całe lata świetlne przewyższał wszystkich innych kolekcjonerów dzieł sztuki. Przerastał ich zarówno majątkiem, wielkim znawstwem, jak i wysoce wysublimowanym smakiem. Zajmował się bardzo rzadkimi i najcenniejszymi dziełami sztuki, dostępnymi wyłącznie dla tych nielicznych kolekcjonerów, którzy mieli nieograniczone możliwości finansowe. Tak jak Lukę Ransom.

Lukę Ransom nigdy dotąd nie korzystał z usług WW. Zresztą nie korzystał z usług żadnej firmy kurierskiej. Nigdy nikomu nie powierzał swoich skarbów. Wiadomo było powszechnie, że ufa tylko i wyłącznie samemu sobie.

Był ekspertem w dziedzinie wyrobów ze srebra i porcelany. Podróżował po całym świecie w poszukiwaniu eksponatów do swej ekskluzywnej galerii znajdującej się w eleganckiej dzielnicy Londynu.

Dee tylko raz znalazła się w pobliżu tej galerii. Zresztą całkiem przypadkiem, gdy wracała od jednego z klientów WW. Jej ciekawość wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem i Dee zerknęła na wystawę. Nie było tam wiele, lecz jakoś z nawiązką rekompensowała niewielką ilość eksponatów.

Na wystawie stał tylko jeden bardzo piękny porcelanowy wazon. Jego tłem była tkanina z surowego jedwabiu, udrapowana z pozorną beztróską. A jednak było to idealne tło dla starej porcelany, doskonale podkreślało harmonijny kształt i niezwykle kolory wazonu.

Oczywiście nic tak pospolitego jak wywieszka z ceną nie miało prawa psuć efektu artystycznego. Dee odwróciła się i pośpiesznie poszła swoją drogą. Wolała nie myśleć o tym, jak bardzo musiałyby być bogata, żeby pozwolić sobie na kupno czegoś takiego.

Ciekawe, czy Ransom sprzedał w końcu ten wazon, pomyślała. A może zachował go dla siebie? Może jest jednym z tych kolekcjonerów, którzy nie potrafią się rozstać ze swymi skarbami. Starzy ludzie przywiązują się do przedmiotów. Ten Ransom musi być bardzo stary. Żeby tak dobrze znać się na antykach, trzeba chyba żyć ze sto lat. On sam pewnie jest bardzo wartościowym antykiem.

W dziedzinie handlu antykami nazwisko Luke'a Ransoma działało cuda, ale Dee nigdy w życiu nie widziała tego człowieka na własne oczy. Nie widziała nawet jego zdjęcia. Mówiono o nim, że lubi spokój i nie pozwalała dziennikarzom choćby zbliżyć się do siebie.

A kurierzy Billa nie chodzili na wystawy. Nawet na te organizowane przez WW. Ich praca polegała na przewożeniu przedmiotów, na dostarczaniu ich klientom, a nie na podziwianiu tego, co z narażeniem własnego zdrowia, a nawet życia, transportowali przez pół świata. Gdyby nie to, Dee pewnie wcześniej czy później natknęłaby się na pana Ransoma.

Nieźle by było poznać takiego znanego antykwariusza, pomyślała. Jednak trochę głupio, że to właśnie on ma mnie eskortować do Londynu. Chyba jest za stary na ochroniarza. Żeby się tylko nie okazało, że zamiast zajmować się bezpieczeństwem klejnotów, będę musiała uważać, żeby jemu nic się nie stało.

- Czy on nie mógłby się wygrzebać wcześniej niż w czwartek? - Dee nie dawała za wygraną. -

Oczywiście pod warun-

kiem, że eksponaty przyjadą do tego czasu. Zresztą mogę sama przewieźć te klejnoty.

- Pan Ransom już od kilku dni jest w Indiach - poinformował ją John. - Podróżował po Japonii i postanowił wracać do Anglii przez Indie. Podobno kupował w Japonii porcelanę, którą zamówił u niego jakiś ważny klient. W Indiach wylądował głównie po to, żeby się spotkać ze swoim starym przyjacielem.

Stary przyjaciel idealnie do niego pasuje, pomyślała ubawiona Dee. Same antyki. Ale mi się trafiła przesyłka!

- Wobec tego nie rozumiem, w czym problem. - Dee była coraz bardziej zniecierpliwiona i coraz mocniej zdecydowana wrócić do Anglii z klejnotami i bez starego zdziwaczałego antykwa-riusza. - Jest w Indiach, odwiedził starego przyjaciela, więc niech wraca do domu. A jeśli nie zechce, to polecę bez niego. Przygotuj mi dokumenty przewozowe, a kiedy przyślą resztę rzeczy, zarezerwuj mi miejsce na najbliższy lot do Londynu.

- Nie licz na to. - John natychmiast pozbawił ją wszelkich złudzeń. - Bez pana Ransoma nie polecisz, a on nie wyjedzie z Delhi wcześniej niż w czwartek. W środę chce obejrzeć mecz krykieta.

- Mecz krykieta? - Dee nie posiadała się ze zdumienia. Miała wrażenie, a może raczej nadzieję, że się przesłyszała.

- Ten mecz to wielkie wydarzenie - wyjaśnił John. - Wezmą w nim udział wszyscy najbardziej znani zawodnicy, a dochód zostanie przekazany na cele dobroczynne.

John mówił o zwykłym meczu niemal z nabożnym szacunkiem. Nie trzeba było jasnowidza, żeby się zorientować, że sam jest oddanym wielbicielem krykieta.

Na próżno Dee usiłowała go przekonać, żeby pozwolił jej samodzielnie eskortować klejnoty. John był nieugięty. Podobno pan Ransom nie życzył sobie żadnej ochrony. Powiedział Johnowi, że do nikogo nie ma zaufania i że sam będzie towarzyszył kurierowi do Londynu. Nie wcześniej niż w czwartek.

- Pochodź po mieście - poradził jej John. - Obejrzyj je sobie spokojnie, skoro masz po temu okazję. Miała ochotę powiedzieć temu skądinąd całkiem miłemu człowiekowi, że jedyny widok, jaki by ją w tej chwili ucieszył, to widok pana Ransoma wsiadającego z nią i z klejnotami na pokład samolotu odlatującego do Londynu.

Na szczęście w porę sobie przypomniała, że nie ma sensu obrażać człowieka, który - tak samo jak ona - jest tylko wykonawcą cudzych poleceń.

Czuła się winna. Uważała, że nadużywa zaufania Billa, że marnuje jego pieniądze na zupełnie zbędne przesiadywanie w Indiach. Mimo to poszła zwiedzić miasto.

Poczucie winy prędko zniknęło. Delhi było tak piękne, tak egzotyczne, że gdy na chwilę zapominała o obowiązkach, cieszyła się, że los dał jej taki prezent. W końcu mogła nigdy więcej nie zawitać w tę stronę świata.

Może właśnie dlatego trochę się przeforsowała. Nie przyzwyczajona do wilgotnego upału panującego w Delhi o tej porze roku, powinna była przynajmniej pierwszego dnia wybrać się na krótki spacer, zamiast przemierzać wszystkie wąskie uliczki starego Delhi. Trudna do zniesienia wilgoć miała przynajmniej jeden pozytywny skutek. Ten mianowicie, że turystów było znacznie mniej niż zazwyczaj i że dzięki temu mogła więcej zobaczyć.

Zwiedzała świątynie i meczety, oglądała minarety, podziwiała misternie rzeźbione stare budowle, na których wyrzeźbiono

wyobrażenia ludzi i zwierząt z minionych epok, spoglądających z góry na kłębiące się u ich stóp nowoczesne życie.

Dla ochrony przed palącym słońcem kupiła sobie delikatny szal na głowę. Niestety, kiedy zwiedzała słynny Czerwony Fort, porwały go nawykłe do obecności turystów małpy, zamieszkujące teraz jego teren.

Wróciła do hotelu wąskimi uliczkami, którymi poprzedniego dnia jechała. Bazary były kolorowe, żywe, pełne egzotycznych przypraw i cudownych przedmiotów, których przeznaczenia Dee nawet nie umiała się domyślić. Nie mogła oczu oderwać od wystawionych na sprzedaż barwnych sari, delikatnych muślinów i kunsztownych koronek.

Upał i zbyt długa jak na pierwszy dzień wędrowka po wielkim mieście zupełnie ją wyczerpały. Chłód klimatyzowanego hotelu wydał się Dee błogosławieństwem.

John czekał na nią w holu.

- Widzę, że jesteś zmordowana, ale muszę z tobą zamienić dwa słowa, zanim pójdziesz do pokoju - powiedział, patrząc na nią ze współczuciem. - Są pewne kłopoty z dostawą pozostałych eksponatów. To może potrwać znacznie dłużej niż... Zaczekaj chwilę. Chyba wreszcie połączyli mi rozmowę. Nie odchodź, za moment wrócę.

John pobiegł za kelnerem machającym do niego ręką. Dee nie pozostało nic innego, jak tylko usiąść na niskiej kanapie i czekać, choć nie widziała w tym wiele sensu. Była zmęczona, brudna i dosłownie lepiła się od potu. Zamiast tracić czas w hotelowym holu, mogła równie dobrze pójść do pokoju, wykapać się i przebrać. To, co John miał jej do powiedzenia, na pewno mogło chwilę poczekać.

Zwłaszcza że i tak nie mogła wrócić do Anglii wcześniej niż w czwartek.

Rozejrzała się dookoła. Otaczający ją turyści z różnych stron świata nie byli ani spoceni, ani nawet zmęczeni. Mieli czyściutkie ubrania, jakby nie zwiedzali zakurzonej, nasączonej kleistym upałem stolicy Indii.

Młody mężczyzna, który do niej podszedł, też wyglądał nieskazitelnie. Kremowe ubranie leżało na nim jak druga skóra. Doskonale skrojona marynarka z cienkiego lnu podkreślała szerokie ramiona, wąskie biodra i ogniście rudą czuprynę nieznajomego.

- Czy to miejsce jest wolne? - zapytał elegancki, przystojny rudzielec.

Dee niechętnie skinęła głową, chociaż wolałaby, żeby ten człowiek usiadł sobie gdzie indziej.

Przecież prawie wszystkie kanapy w przestronnym holu były wolne.

Po cichu liczyła na to, że John zaraz wróci. Powiedział, że zostawiają na chwilę, a tymczasem nie było go już co najmniej pół wieku. W każdym razie Dee zdawało się, że aż tak długo na niego czeka.

Bardzo żałowała, że wybrała sobie do siedzenia szeroką kanapę, zamiast usiąść w wielkim fotelu, przeznaczonym dla jednej osoby. No cóż, płaciła teraz za swoje lenistwo, za to, że nie chciało jej się zrobić trzech kroków dzielących ją od fotela i usiadła dosłownie tam, gdzie stała, na wielkiej narożnej kanapie, którą rudy przystojniak też sobie upodobał. Co gorsza, usiadł naprzeciwko niej i Dee musiała na niego patrzeć za każdym razem, kiedy tylko spoglądała w stronę, gdzie zniknął John.

Od razu zauważyła, że rudzielec ma brązowe oczy z dziwnymi błyszczącymi cętkami, jakby jego tęczówki posypano drobinami kwarcu. Cętki nagle zapłonęły i Dee zrozumiała, że męż-

czynna się jej przygląda. Zawstydzona spuściła wzrok. Udała, że słucha głosu spikera radiowego, który właśnie ogłaszał wyniki meczu krykieta.

- Znów ten krykiet - westchnęła, przypomniawszy sobie, dlaczego nie może od razu wrócić do Anglii.

- Nie interesuje się pani grą? - zapytał uprzejmie obcy rudzielec.

Dee spojrzała na niego zaskoczona. Nie miała pojęcia, że mówi na głos.

- Nie interesują pani wyniki meczu? - powtórzył tak samo uprzejmie, jak za pierwszym razem.

- Nie! - warknęła.

Dopiero po chwili przypomniała sobie, że znajduje się w Indiach, gdzie krykiet uważa się za sport narodowy, niemal narodową świętość. Natychmiast się poprawiła, choć zaraz potem strzeliła kolejną gafę.

- Nie mam nic przeciwko tej grze, choć w tej chwili wolałabym, żeby jej nigdy nie wymyślono - gorączkowała się, coraz bardziej poirytowana.

Rudzielec zrobił zdziwioną minę, lecz nie dał po sobie poznać, że go uraziła. Nawet się do niej uśmiechnął.

- To przecież tylko nieszkodliwa zabawa - powiedział.

- Ja naprawdę nie mam nic przeciwko samej grze - tłumaczyła się Dee. Całkiem niepotrzebnie. - Tylko ludzie mnie irytują.

- W tym sezonie gracze spisują się doskonale.

- Nie chodzi mi o graczy. - Dee plątała się coraz bardziej. - Nie gracze mnie irytują, tylko widzowie. A raczej jeden konkretny widz.

- Czyżby pani narzeczony aż tak bardzo pasjonował się krykietem, że ośmiela się panią zaniedbywać?

- zażartował nieznajomy.

Tego było jej stanowczo za wiele. Ten nieszkodliwy w innych warunkach żart spowodował, że puściły jej nerwy, które

- mimo upału i idiotycznej sytuacji, w jakiej się znajdowała

- dotąd udawało się trzymać na wodzy. Nie rozumiała, jak ten bezczelny typ może przypuszczać, że tolerowałyby przy sobie mężczyznę, który uważa ją za mniej ważną od jakiejkolwiek gry- Nie przyjechałam tu z narzeczonym - parsknęła jak rozwścieczona kotka. - Z tym mężczyzną, o którym mówiłam, łączą mnie tylko interesy.

Właściwie nie musiała się tłumaczyć jakiemuś nieznajomemu, ale ponieważ ten wybuch złości złagodził napięcie, jakie od pewnego czasu odczuwała, postanowiła mówić dalej. Oczywiście, musiała się pilnować, żeby nie zdradzić żadnego szczegółu mogącego naprowadzić tego obcego człowieka na trop interesów, jakie sprowadziły ją do Indii.

- Gonię jak wariatka, żeby się z nim spotkać, a kiedy przylatuję do Indii, co się okazuje? Wielki człowiek interesu nie może stąd wyjechać wcześniej niż w czwartek, bo koniecznie musi w środę obejrzeć mecz krykieta. Uważa, że cały świat powinien stanąć w miejscu, bo on akurat ma ochotę zobaczyć jakiś głupi mecz! - piekliła się Dee.

- Niech pani wykorzysta ten czas i obejrzy sobie Delhi

- podsunął rudzielec. - To fascynujące miasto. Można w nim zobaczyć rzeczy, których nie ma w żadnej innej części świata.

- Dziś przeszłam na piechotę całe Delhi.

- Wygląda pani tak, jakby całe Delhi przeszło na piechotę

po pani - zauważył, obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem jej nieświeże ubranie.

Mało brakowało, a byłaby go porządnie zbesztła. Żaden obcy człowiek nie miał prawa jej krytykować.

Zanim zdążyła się odezwać, rudzielec odwrócił się od niej i wezwał przechodzącego obok kelnera.

- Proszę nam podać dwie szklanki soku cytrynowego z lodem - zarządził.

Nie tylko nie zapytał, czy Dee zechce przyjąć poczęstunek, ale nie zainteresował się nawet, tym czy ona w ogóle lubi sok cytrynowy. Zachowywał się nie tylko bezceremonialnie, ale także w sposób bardzo pewny siebie.

- Nie jestem przyzwyczajona do upału - powiedziała z godnością. - Zwłaszcza przy tak dużej wilgotności powietrza.

- Najpierw powinna się pani zaaklimatyzować, a dopiero potem wybierać na piesze wędrówki po mieście - tłumaczył jak mało rozbartemu dziecku. - Istnieją przyjemniejsze sposoby zwiedzania Delhi niż ten, który pani sobie wybrała. Nie trzeba koniecznie zamęczać się na śmierć, żeby obejrzeć wszystkie cuda tego miasta. Poza tym nie powinna pani spacerować z gołą głową.

- Kupiłam sobie szal, ale małpy mi go ukradły - poskarżyła się Dee.

Była na siebie wściekła. Nie wiedziała, po co tłumaczy się obcemu człowiekowi, po co w ogóle z nim rozmawia. Gdyby nie ten przekłety John, który zatrzymał ją na chwilę, a teraz każe godzinami na siebie czekać, byłaby w swoim pokoju i nie musiałaby znosić obecności rudego impertynenta.

- A więc zwiedzała pani fort - stwierdził rudzielec.

Nie zapytał jej o to, tylko stwierdził, jakby potrafił czytać w myślach. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to żadna cudowna właściwość. Widocznie ten człowiek doskonale zna miasto i dlatego wie, gdzie w Delhi gnieźdzą się beczelne małpy.

Kątem oka dostrzegła śpieszącego w jej stronę Johna. A więc nareszcie skończył tę krótką rozmowę telefoniczną, która -w mniemaniu Dee - trwała całe wieki.

- Wraca mój kolega - oznajmiła tonem, który miał zniechęcić rudzielca do kontynuowania tej niepotrzebnej rozmowy.

Bała się, żeby rudy nie zapytał jej o rodzaj interesów, które sprowadziły ją do Indii. Gdyby mu nie powiedziała, wzbudziłaby tym samym jego ciekawość. Gdyby powiedziała, naraziłaby i siebie, i przewożone eksponaty na gigantyczne ryzyko.

W dzisiejszych czasach złodzieje nie występują w przepasce na oczach i z workiem w ręku. Dzisiejsi rabusie są bardzo elegancy i nad wyraz uprzejmi. Zaczynają rozmowę z kimś, kogo uważają za kuriera, stawiają mu drinka i wyciągają z niego wszystkie interesujące ich informacje. Tego także nauczono ją na kursie samoobrony.

Powrót Johna wybawił Dee z kłopotliwej sytuacji. Już nie musiała się bać nieskazitelnego kremowego garnituru ani nawet szklanki z sokiem cytrynowym, którą postawił przed nią kelner.

- Przepraszam, że kazałem ci tak długo czekać - powiedział John, siadając obok niej na kanapie. - Myślałem, że to będzie krótka rozmowa, ale wszystko się skomplikowało. Niestety, nie mam dla ciebie dobrych wiadomości. Przesyłka dotrze do Delhi nie wcześniej niż za dziesięć dni.

Dee oczami dawała mu znaki, żeby pod żadnym pozorem nie mówił głośno, jakiego rodzaju przesyłki się spodziewają. I tak już za dużo powiedział. Jakby nie wiedział, że powinien zachować dyskrecję. A może nigdy przedtem nie miał do czy-

nienia z kosztownościami? Może nikt nie pomyślał o tym, że jego też należy przeszkolić albo przynajmniej przestrzec przed zbytnim gadulstwem.

- A więc ten środowy mecz krykieta i tak niczego nie zmieni - wtrąciła szybko, nie chcąc dopuścić do tego, żeby John się wygadał.

- Teraz już nie. Możecie nawet obejrzeć go razem. - John uśmiechnął się do rudzielca. - Widzę, że zdążyłaś poznać pana Ransoma.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po prostu ją zamurowało. Była wściekła na siebie, że dała się podejść. Lukę Ransom sprowokował ją do obrażania wszystkich miłośników krykieta, a w szczególności jego samego. Lani słowem się nie zdradził! Musiał się nieźle bawić, widząc, jak sama na siebie zastawia pułapkę.

W niczym nie przypominał zgrzybiałego staruszka, jakim go sobie wyobrażała. Miał trochę ponad trzydzieści lat, był bardziej niż przeciętnie przystojny i - co najgorsze - doskonale o tym wiedział.

Na domiar złego znów pojawił się kelner wzywający Johna do telefonu.

- Już idę! - zawołał John. Zanim odszedł, zwrócił się do Dee i Luke'a: - Przepraszam, ale muszę was zostawić samych. Skontaktuję się z wami, gdy tylko dowiem się czegoś konkretnego.

Odszedł, nim Dee zdążyła wymyślić jakiś pretekst, który zmusiłby go do pozostania. Nie mogła wstać i odejść, bo zrobiłaby z siebie kompletną idiotkę. Postanowiła zatem tak dokuczyć temu całemu Ransomowi, żeby nie chciał z nią więcej rozmawiać. Niestety, tego także nie zdążyła zrobić.

- Gdzie się podziewa ten drugi kurier, który z panią przyjechał? - zapytał Luke.

- Nie ma żadnego innego kuriera - odparła. - Przyjechałam sama.

- Powiedziano mi, że mam się spotkać z Dee Tredinnick.

- To właśnie ja - oznajmiła z dumą.

Z radością dała prztyczka w nos temu zarozumiałcowi, który najwyraźniej wyobrażał sobie, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zatrudniłby kobiety jako kuriera.

- Niemożliwe! - oburzył się Luke. - Mam rozumieć, że do konwojowania drogocennych klejnotów wyznaczono dziewczynę?

Jego reakcja potwierdziła niewesołe przypuszczenia Dee. Poczowała się urażona.

- Jeśli Bill Williams mi zaufał, to pan także nie musi się niczego obawiać - prychnęła.

Zachowała się niegrzecznie, to fakt, ale on też nie był zbyt uprzejmy. Zresztą to nie jego sprawa, kogo i dlaczego Bill wyznacza do konwojowania przesyłki. Luke Ransom nie miał nic wspólnego z WW.

Po prostu miał razem z Dee wrócić do Londynu. Poza tym za nic nie odpowiadał i nie mógł nikomu wydawać żadnych poleceń. A już na pewno nie Dee, zaufanej kurierce Billa.

Zebrała się w sobie, zmuszając do zachowania spokoju.

- Zapewniam pana, panie Ransom... - zaczęła.

- Ja do nikogo nie mam zaufania. - Luke jakby nie zauważył, że w ogóle się odezwała. - Czy Bill Williams wie, że przez dziesięć dni będzie pani w Delhi zupełnie sama?

Ten facet jest niemożliwy, pomyślała zrozpaczona. Nudny i marudny, dokładnie taki, jakim go sobie wyobrażała. Z tą tylko różnicą, że nie jest zgrzybiałym starcem, tylko młodym, przystojnym mężczyzną. I kolejnym dowodem na to, że nie myliła się co do mężczyzn.

- W niczym nie zagrażam temu miastu - warknęła.
- Ja się nie boję o Delhi. To miasto potrafi samo sobie radzić.
- Proszę pana...

Była wściekła. Miała ochotę zrobić awanturę, ale - tak jak poprzednim razem - znów nie pozwolił jej dokończyć.

- Czy moglibyśmy mówić sobie po imieniu? - zapytał. - Tak będzie prościej.

Ale nie powiedział, jak ma na imię. Chociaż nie zostali sobie formalnie przedstawieni, uważał, że ona musi je znać. Taki był pewny siebie.

- Niech i tak będzie - zgodziła się Dee. - A więc, posłuchaj mnie, Luke...

Dopiero kiedy usłyszała własne słowa, pojęła, jak głupio się zachowała. Udowodniła mu, że istotnie zna jego imię, mimo że odkąd się spotkali, ani razu nikt go w jej obecności nie wypowiedział.

Zauważyła w jego dziwacznych oczach błysk zwycięstwa. Był z siebie zadowolony, mimo to i tak znów nie pozwolił jej dokończyć. Widać miał takie paskudne przyzwyczajenie.

- Przyjadę o siódmej i zabiorę cię na kolację - oświadczył bez zbędnych ceregieli. Tym razem także o nic nie pytał, tylko oznajmił kategorycznie swoją wolę. Jakby Dee nie miała w tej sprawie zupełnie nic do powiedzenia. - Przez ten czas wymyślę ci jakieś sensowne zajęcie, żebyś się nie nudziła, czekając na powrót do Londynu.

Błyskawicznie wstał z bardzo niskiego siedziska i nim Dee zdążyła się sprzeciwić, nim zdążyła wrzasnąć, że nie ma ochoty go widzieć, a tym bardziej jeść kolacji w jego towarzystwie, po prostu sobie poszedł.

Jak on może mnie tak traktować, myślała rozzłoszczona. On

mi wymyśli jakieś sensowne zajęcie! I nawet nie przyszło mu do głowy, że sama potrafię o sobie decydować. Trzeba było od razu mu powiedzieć, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Skoro muszę, to polecę razem z nim do Londynu, ale przedtem nie chcę go widzieć na oczy.

Nie miała ochoty na niczyje towarzystwo przy kolacji, a na myśl o takim towarzystwie całkiem straciła apetyt. Nie chciała nikogo widzieć, nie chciała nawet wychodzić z komfortowo urządzonego hotelowego pokoju. A już na pewno nie chciała mieć nic wspólnego z żadnym facetem. Zwłaszcza przystojnym.

Jedyną pociechę znajdowała w myśli, że przygotowuje się na wieczór, pokaże temu pewnemu sobie rudzielcowi, gdzie jego miejsce. No cóż, nie planowała konfrontacji, walki na siłę woli z bogatym paniczem, ale skoro została do tego zmuszona...

Na razie jednak musiała się wykapać i odpocząć po upiornie męczącym dniu. Potem zadzwoniła do Billa, żeby mu zdać sprawę z tego, co załatwiła. Albo raczej z tego, czego nie udało jej się załatwić.

- Ransom? Nie przesłyszałem się? - dopytywał się Bill tak zaciekawiony, jakby to była najważniejsza informacja dnia. - Lukę Ransom?

- Ten sam - potwierdziła Dee i w krótkich słowach opowiedziała o nie planowanym spotkaniu. -

Muszę z nim iść na kolację - poskarżyła się. - Zdaje mu się, że na skiniecie jego małego palca będę tańczyć, jak on mi zagra, ale srodze się rozczaruje. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to spotkamy się dopiero w dniu wylotu do Londynu. To może potrwać, Bill. Nawet dziesięć dni.

Dopiero teraz przyszedł jej do głowy doskonały pomysł.

- A może wrócę do domu i przylecę do Delhi, kiedy przesyłka będzie gotowa do drogi? - zapytała. - Ten hotel musi kosztować majątek, więc to, co zaoszczędzisz na hotelu, pokryje koszt dodatkowego biletu lotniczego.

A jednak pomysł nie był taki genialny, jak się Dee wydawało.

- Nie twoja sprawa, ile zapłacę za hotel. - Bill mówił tak radosnym tonem, jakby to jemu mieli zapłacić, a nie odwrotnie.

- I dbaj o Luke'a Ransoma najlepiej, jak potrafisz. Bardzo mi na nim zależy.

- Muszę? - jęknęła Dee. - To arogancki tyran. Wszystkim chciałby dyktować, co mają robić.

- Nie znam go z tej strony - powiedział Bill. - Wiem tylko tyle, że w naszym świecie nazwisko Luke'a Ransoma jest równoznaczne z gwarancją najwyższej jakości.

- A twoja firma to pies? - oburzyła się Dee. - Mówisz tak, jakbyś zapomniał, ilu wielkich i bogatych korzysta z usług WW.

- No to wyobraź sobie, jaką siłę będziemy stanowili razem

- roześmiał się Bill. - Trzymaj się go. I potraktuj to jak polecenie służbowe.

- A co będzie z wystawą? - Dee sięgnęła po ostatni argument. - Obawiam się, że zanim przyjadę z eksponatami, będzie już po wszystkim.

- Jeszcze nie zdecydowałem, gdzie ją pokażę.

- W zamku Windsorów nie skakali z radości? - zakpiła.

- Wciąż nad nimi pracuję - odciął się Bill. - Bądź kochana i zgódź się na wszystko, co ci Ransom proponuje - poprosił.

- Nie ma mowy - obruszyła się Dee.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Wszystko, ale w granicach przyzwoitości. Nie mam zamiaru namawiać cię na nic zdrożne-

go. I pamiętaj, proszę, że w naszych interesach obecność Luke'a Ransoma to więcej niż referencje od królowej.

- Wobec tego nie będziesz potrzebował zamku Windsorów dla swojej wystawy. Mam rację?

- Masz - roześmiał się Bill. - Dbaj o moje interesy, Dee. I do usłyszenia.

Tak więc nie pozostało jej nic innego, jak tylko ubrać się elegancko i iść na kolację z Lukiem Ransomem. Zdawała sobie sprawę, że Bill trochę z niej podkpiwał, ale wiedziała także, jak bardzo zależy mu na tym, żeby kojarzono nazwisko Ransoma z jego firmą. Na pewno nie żartował, mówiąc o znaczeniu tego nazwiska w świecie kolekcjonerów dzieł sztuki, który był także światem Billa. Z tego świata żył. I on, i jego kurierzy.

Dee nie musiała się długo zastanawiać, co na siebie włoży. Przyjechała do Indii tylko na kilka dni, więc miała ze sobą jedynie najniezbędniejsze rzeczy. Na szczęście na wszelki wypadek zapakowała do walizki wieczorową sukienkę. Zawsze tak robiła, ale dopiero teraz doceniła tę niepotrzebną dotąd przezorność.

Sama się zdumiała, widząc, jak elegancko wygląda w prostej sukni z zielonego jedwabiu spiętej szerokim białym paskiem i w leciutkich białych sandałkach. Od razu poczuła się bardziej pewna siebie. Mogła spokojnie zejść do holu na umówione spotkanie z tym niemożliwym Lukiem Ransomem.

Dostrzegła go natychmiast, gdy tylko stanęła u szczytu schodów. Zresztą trudno go było nie zauważyć. Górował wzrostem nad wszystkimi ludźmi zebranymi w holu. I jeszcze ta jego ogniście czerwona czupryna...

On też od razu ją zobaczył. Jakby czekał, kiedy się pojawi.

Dee nagle poczuła się niezdarna. Kurczowo trzymając się balustrady, powoli schodziła na dół.

Lukę zbliżył się do schodów. Dee zauważyła, że ludzie roz-stępowali się przed nim niejako automatycznie, jakby siłą woli torował sobie przejście w zatłoczonym o tej porze holu hotelowym.

Gdy tylko zeszła z ostatniego schodka, natychmiast wziął ją pod rękę. Czyżby się obawiał, że ucieknie mu w ostatniej chwili? .- Idziemy? - zapytał.

- A mam inne wyjście?

Mimo prośby Billa nie zdołała się zdobyć na przyjazny ton. Lukę spojrział na nią rozbawiony.

- Ogłaszam rozejm na dzisiejszy wieczór - zarządził. - Moi przyjaciele zaprosili nas oboje na kolację do swego domu. Mam nadzieję, że u nich będziesz się czuć lepiej niż w hotelu.

Zapewne mówił o tym swoim starym przyjacielu ze szkolnych czasów. Skoro Lukę Ransom był młody, to i jego przyjaciel nie mógł być starym człowiekiem.

Dee była wdzięczna temu staremu-młodemu przyjacielowi za to, że podsunął Luke'owi takie rewelacyjne rozwiązanie. Dzięki niemu mogła spełnić prośbę Billa, a jednocześnie nie była zdana wyłącznie na towarzystwo władczygo rudzielca. Nie chciała jednak, żeby się domyślił, jaki ogromny kamień spadł jej z serca.

- To bardzo miło ze strony twoich przyjaciół - powiedziała uprzejmie.

Miała nadzieję, że w jej głosie nie było słyhać tej ogromnej ulgi, jaką odczuwała. Wiedziała, że wśród innych ludzi będzie mniej skrepowana, niż byłaby w eleganckiej restauracji sam na

sam z tym pewnym siebie rudzielcem. Lukę Ransom ją onieśmielał, choć wcale się o to nie starał. Tym bardziej go za to nie lubiła.

Nie lubiła go także za to, że bardzo ją podniecał. Dotyk jego palców parzył jej skórę, męskość w czystej postaci emanowała od niego jak niewidoczna energia. Naprawdę trudno było udawać, że się tego nie zauważa, że zupełnie nic się nie czuje.

Lukę Ransom nie był ani studentem, ani prowincjonalnym podrywaczem jak Alan, lecz światowcem w każdym calu. Bogatym, potężnym i znającym swoją siłę, która sprawiała, że zwykli śmiertelnicy ciągnęli do niego jak ćmy do światła.

Dee nie rozumiała, dlaczego Bill tak się przejął pojawieniem się Lukę'a, dlaczego posunął się do tego, żeby wydać jej takie niecodzienne polecenie. Czyżby nie wiedział, że Dee może sobie poparzyć skrzydełka przy tym płomieniu, który nie dla niej został rozpalony?

Jechali wąskimi, wciąż zatłoczonymi uliczkami. Lukę kluczył po mieście z pewnością świadcząca o tym, że zna tu każdy kamień.

Cierpki dym z tysięcy ognisk, przy których przyrządzano wieczerzę, unosił się nad miastem mglistym oparem. Ogniska błyszcząły w smugach snującego się nisko nad ziemią dymu jak gwiazdy na Drodze Mlecznej. To wszystko było takie nierealne, takie niesamowite, że Dee zapomniała, na jakim świecie żyje.

Lukę nagle skręcił w boczną uliczkę. Wjechali do dużego, pięknie utrzymanego ogrodu. Na końcu długiej alei Dee zobaczyła okazały dom z białego piaskowca. Najwyraźniej przyjaciel Lukę'a był człowiekiem zamożnym.

- Jestem pewien, że polubisz Manoję i jego żonę - odezwał

się Luke, jakby naprawdę czytał w jej myślach. - Są bardzo sympatyczni i uwielbiają przyjmować gości.

A więc zauważył, że się denerwuję, pomyślała Dee. Na szczęście myśli, że to z powodu spotkania z jego przyjaciółmi. Do głowy mu nie przyszło, że mogłabym się denerwować przez niego. No i chwała Bogu.

Przestała się bać, zapomniała o zdenerwowaniu. Miała nadzieję, że za chwilę całkiem się rozluźni, znów będzie sobą.

Luke podjechał pod ganek, wysiadł z samochodu, odtworzył drzwi od strony pasażera i wyciągnął rękę, chcąc pomóc Dee wysiąść z auta. Gdyby zrobił to kto inny, pewnie byłaby wdzięczna za pomoc, ale dotknięcie dłoni Luke'a paliło ją żywym ogniem. Cały z takim trudem osiągnięty spokój prysł w jednej krótkiej chwili.

- Oboje pracują w pobliskim szpitalu - mówił Luke, jakby zupełnie nic się nie stało, jakby niczego nie zauważył. - Manoj jest specjalistą od chorób tropikalnych. Pod koniec września jedzie do Anglii. Będzie prowadził wykłady we wszystkich angielskich szpitalach klinicznych. Gita jest ginekologiem. Mają dwóch uroczych synków. Niestety, dzisiaj ich nie zobaczysz, bo o tej porze chłopcy są już w łóżkach.

Powiedział to tak, jakby był pewien, że nadarzy się inna okazja, że to wprawdzie pierwsza, ale na pewno nie ostatnia jej wizyta w tym gościnnym domu. Dee zdawało się, że Luke żałuje, iż dzieci jego przyjaciół już śpią i nie będzie mógł się z nimi zobaczyć.

A więc pan i władca ma jednak jakąś słabość, ucieszyła się. Chyba lubi dzieci. A może tylko tych dwóch synków swoich przyjaciół? Ciekawe, czy sam też ma dzieci. Nie, chyba nie. Ktoś jej wspominał, że nie jest żonaty. Pewnie jest zatwardziałym starym

kawalerem. W ogóle nie powinna zaprzętać sobie tym głowy, bo znów coś głupiego wymyśli. Jeszcze dziś rano święcie wierzyła, że to sklerotyczny zasuszony staruszek, i co się okazało? A zresztą nawet jeśli rzeczywiście jest kawalerem...

Wreszcie się zreflektowała, że myśli o rzeczach, które nic a nic jej nie obchodzą. Zabroniła sobie myśleć o Luke'u Ransomie. Zwłaszcza że miał przedziwną moc odgadywania jej myśli.

Lepiej nie ryzykować, postanowiła, nie okazywać mu żadnego zainteresowania.

Jestem zdeklarowaną starą panną, postanowiłam, że nigdy nie wyjdę za mąż, i naprawdę jest mi z tym dobrze. O, tak, ucieszyła się. Tę myśl Luke Ransom może sobie poznać. Albo lepiej sama mu o tym powie przy najbliższej okazji.

- Nic straconego - ciągnął Luke. Widocznie tym razem nie miał zamiaru czytać w jej myślach. - Zobaczysz ich jutro. To wspaniałe chłopaki.

Jutro, zaniepokoiła się Dee. Dlaczego jutro? Czy on przypadkiem za dużo sobie nie wyobraża?

Naprawdę zdaje mu się, że może jej zająć całe dziesięć dni, aż do nadejścia eksponatów na wystawę? Niech sobie Bill mówi, co chce, ale nie zamierzała zostać wycieraczką przed drzwiami wielmożnego pana Ransoma.

Postanowiła natychmiast z tym skończyć, od razu jasno i wyraźnie mu powiedzieć, że nie pozwoli sobą pomiatać. Ale - jak zwykle - nie zdążyła.

- Tak się cieszę, że przyjechaliście! - zawołała Gita, która właśnie wyszła na ganek. Manoj podązał za nią.

Spodobali się Dee od pierwszego wejrzenia. Znanca chorób tropikalnych był wysokim, szczupłym mężczyzną o mądrych

oczach i ciepłym uśmiechu. Jego żona, niższa i trochę cięższa od męża, uśmiechała się radośnie do gości. Wyciągnęła obie ręce i uściskała Dee tak serdecznie, jakby były przyjaciółkami od serca, które dawno się nie widziały.

- Jak to dobrze, że nas odwiedziłaś - ucieszyła się. - Przynajmniej dzisiaj nie będę musiała wysłuchiwać nie kończących się rozmów o krykiecie.

- O krykiecie? - zdziwiła się Dee.

Nie mogła się powstrzymać. Wybuchnęła gromkim śmiechem. Gita także się śmiała. Widocznie Luke zdążył już opowiedzieć i o Dee, i o gafie, jaką popełniła.

Śmiech pomógł Dee dojść do siebie, zapomnieć o przyczynie jej zdenerwowania, i chyba tylko dzięki temu kolacja upłynęła w miłej atmosferze.

Okazało się, że Manoj i Gita, tak samo zresztą jak Luke, zwiedzili więcej niż pół świata. Dee słuchała zauroczona, jak opowiadali o tych wszystkich jego cudach, które obiecała sobie kiedyś w życiu zobaczyć. A przecież nie pozwolili jej pozostać biernym słuchaczem.

- Opowiedz nam o swojej pracy - poprosiła Gita.

Nie była to wcale grzecznościowa prośba. Gita naprawdę była ciekawa tego, czym zajmuje się jej gość.

W towarzystwie przyjaciół Luke stał się zupełnie innym człowiekiem. Apodyktyczny władca rozplątał się w powietrzu, a jego miejsce zajął beztroski mężczyzna, który uwielbia dzieci.

Luke był duszą towarzystwa. Żartował z Gita i Dee, dobrodusznie dogryzał Manojowi, a świetliste cętki w jego oczach to zapalały się, to znów gasły w zależności od tego, czy żartowano, czy rozmawiano o sprawach poważnych.

Dee nawet nie zauważyła, jak minęły całe trzy godziny. I wcale nie miała ochoty wracać do hotelu.

- Widzisz? - zwrócił się do żony Manoj. - Przez cały wieczór ani ja, ani Lukę ani razu nie wspomnieliśmy o krykie-cie.

- Czy wyście aby nie chorzy? - roześmiała się Gita. - Manoj i chłopcy uwielbiają tę grę - zwróciła się do Dee - więc, jak widzisz, stanowią w tym domu mniejszość. A kiedy i Lukę się pojawi, nudzę się jak mops.

Obaj mężczyźni mieli żalodne miny. Jak mali chłopcy, którym za karę nie pozwolono kopać piłki.

- No, już dobrze. - Gita machnęła ręką. - Włączcie sobie to swoje radio. Wiem, że nie możecie się doczekać, kiedy podadzą wynik dzisiejszego meczu. Chodź, Dee. Wynosimy się stąd. Pójdziemy na górę popatrzeć na dzieci, a potem porozmawiamy sobie o czymś ciekawym. Na przykład o ciuchach.

- Masz bardzo piękne sari - pochwaliła strój gospodyni pełna uznania Dee.

- Szczęściara ze mnie. - Gita roześmiała się serdecznie. - Mogę korzystać ze wszystkiego, co najlepsze w obu światach. Zwykle ubieram się po europejsku, bo to wygodne. Uwielbiam paryskich krawców, choć nie mogę sobie zbyt często pozwolić na ich kreacje.

Dee pomyślała, że Gicie musi być do twarzy w najbardziej nawet wymyślnych kreacjach z paryskich kolekcji. Ale w pięknie haftowanym sari z cieniutkiego jedwabiu wyglądała jak księżniczka z baśni tysiąca i jednej nocy.

- Ten haft jest wyjątkowo piękny - zachwyciła się.

- Całymi dniami pracuję w szpitalu, ubieram się w to samo co mężczyźni, więc przynajmniej wieczorem chcę włożyć coś naprawdę ładnego. Przestaję wtedy być lekarzem i po prostu czuję się

zwykłą kobietą.

- Raczej niezwykłą - zaprotestowała Dee.

- Czyżbyś była feministką? - zdziwiła się Gita.

- Skądże - obruszyła się Dee. - Nie mam czasu na takie głupoty. Moim zdaniem ten ruch jest zbyt hałaśliwy i całkiem niepotrzebny.

- Święte słowa - zgodziła się Gita. - Naprawdę nie rozumiem, dlaczego ludzie muszą się sprzeciwiać naturze. Kobieta zawsze pozostanie kobietą, a mężczyzna mężczyzną, a o prawdziwym równouprawnieniu zaczniemy mówić, kiedy oni będą rodzić dzieci.

- No właśnie. - Dee się roześmiała.

Weszły na piętro i stanęły przed zamkniętymi drzwiami.

- Cii... - Gita położyła palec na ustach. - Zajrzę do chłopców. Jeśli chcesz, to ci ich pokażę, ale jeśli nie, to powiedz. Nie chciałabym cię zanudzić, bo o dzieciach mogę mówić bez przerwy.

- Mnie dzieci też nigdy nie nudzą - zapewniła ją z pełnym przekonaniem Dee.

- Ten ma cztery lata - szeptała Gita, pokazując kolejno swoich śpiących synków - a jego brat niedługo skończy sześć. Teraz wyglądają jak aniołki, ale diabeł w nich wstępuje, kiedy się obudzą.

- Śliczne dzieciaki - westchnęła Dee. - Musisz być bardzo szczęśliwa.

Dopiero kiedy usłyszała swoje słowa, zdziwiła się, skąd się wzięły, jakim cudem i gdzie powstała ta przedziwna myśl.

- Niedługo będziesz miała własne dzieci.

- Raczej nie. W każdym razie na pewno nieprędko. Nie

mam zamiaru wychodzić za mąż. Chciałabym podróżować, zwiedzić cały świat.

Właśnie tak postanowiła. O tym, dlaczego powzięła to postanowienie, nikomu nie musiała opowiadać. Zwłaszcza tej obcej, choć niesłychanie sympatycznej kobiecie.

- Manoj i chłopcy są całym moim światem - oświadczyła z przekonaniem Gita.

Dee spojrzała na nią zadziwiona. Podczas kolacji Gita opowiadała o podróżach, o studiach, o swojej pracy. Czy to możliwe, żeby takiej światowej kobiecie zależało tylko na mężu i dzieciach? Dlaczego zgodziła się zamknąć w czterech ścianach domu? Choćby nawet tak pięknego jak ten. No, może nie całkiem. Miała ciekawą pracę, była wziętym lekarzem. ..

- Moja bratowa oczekuje dziecka - powiedziała Dee, nie chcąc drażnić niewygodnego tematu. - Może zresztą już urodziła. W każdym razie, kiedy wrócę do domu, na pewno zastanę tam nowego członka rodziny.

- To nie to samo co własne dziecko. - Gita spojrzała na ręce Dee. - Masz narzeczonego?

- Nie. - Dee gwałtownie pokręciła głową. - Nie mam zamiaru rezygnować z wolności.

Mało brakowało, a zrobiłabym to, pomyślała. I to dla kogo? Dla jakiegoś nic niewartego błazna. Zaraz jednak postanowiła, że wyrzuci go z pamięci. Ten cały Alan nie był wart nawet złego wspomnienia.

- Któregoś dnia spotkasz właściwego człowieka - zapewniła ją Gita. - Wtedy przestaniesz myśleć o małżeństwie jak o poświęceniu.

Dee wolała się nie odzywać. Miała w życiu ciekawsze zajęcia niż uganianie się a mężczyznami, ale nie chciała zanudzać Gity swoimi problemami.

Wróciły do pokoju, w którym zostawiły mężczyzn.

- Dziś już nie podadzą żadnych wyników - poskarżył się Manoj na widok żony.

- Hura! - zawołała uradowana Gita.

- Czy twoja drużyna grała dzisiaj mecz? - zapytała Dee, nieco zdziwiona zachowaniem Gity.

- Ja nie kibicuję żadnej drużynie - powiedział Manoj.

- Lukę i Manoj nie kibicują żadnej konkretnej drużynie - wyjaśniła Gita. - Są czcicielami gry.

Dee najpierw się zdziwiła, a potem pomyślała, że trzeba być bardzo pewnym siebie, żeby sobie pozwolić na tego rodzaju bezstronność. No, ale przecież obaj panowie posiadali tę cechę. Jeden z nich nawet w nadmiarze.

- Nic straconego - pocieszyła ich Gita. - W środę też grają. Manoj i ja postanowiliśmy wziąć sobie kilka dni urlopu przed wyjazdem do Anglii, więc wszyscy będziemy mogli wybrać się na mecz.

No, to przynajmniej środę będę miała wolną, ucieszyła się Dee. Niestety, ciągle zostawał jej poniedziałek i wtorek. Obawiała się, że Lukę już jej zaplanował czas i nawet nie zatroszczył się o to, żeby z nią te swoje plany skonsultować.

Czeka go niemiła niespodzianka, postanowiła sobie.

- Czy pozwolisz, żebyśmy cię jutro zabrali do Agry? - zapytał Manoj. - Lukę powiedział, że będziesz wolna, a ponieważ Delhi już sobie obejrzałaś, chcielibyśmy ci pokazać Tadź Mahal. Być w Indiach i nie obejrzeć tego grobowca, to jak pojechać do Rzymu i nie zobaczyć papieża.

No, i jak ja mam mu odmówić, myślała zrozpaczona Dee.

- Nie chciałabym wam psuć urlopu... - Mimo wszystko spróbowała się wykręcić od wycieczki.
 - Nie ma mowy o psuciu - zaprotestował gorąco Manoj.
 - To będzie dla nas prawdziwy zaszczyt. Zwłaszcza Gita będzie uszczęśliwiona. Jest wielbicielek historii i świetnym przewodnikiem. - Spojrzał na żonę z miłością. - Zawsze bardzo się cieszy, kiedy może pokazać naszym gościom cuda Indii. Chłopcy też by z nami pojechali. Uwielbiają, jak mama opowiada, i zawsze chętnie wybierają się z nami na zwiedzanie. Chociaż tacy mali, bardzo interesują się historią. Chyba odziedziczyli to po matce. Nie mogą się wprost doczekać wyjazdu do Anglii. Luke obiecał, że będzie im służył za przewodnika.
 - Zgódź się, Dee. - Gita przyłączyła się do prośby męża.
 - Będę bardzo szczęśliwa. A po drodze zobaczysz sobie kawałeczek Indii.
- Dee nie mogła odmówić, choć była po prostu wściekła. Luke znów postawił na swoim, mimo że nie odezwał się ani słowem.
- Spojrzała na niego zagniewana. On także na nią popatrzył. Zauważyła, że świetliste cętki w jego oczach lśniły tryumfalnie.
- Miałam rację, pomyślała Dee. To on uknuł tę intrygę. Znowu przegrałam. Przegrałam na całej linii i tylko do siebie mogę mieć o to pretensję.
- Dee przeżyła dzisiaj niemiłą przygodę z małpami - odezwał się Luke. - Zwiedzała fort, a one ukradły jej szal.
 - To się często zdarza - roześmiała się Gita. - Nic się nie martw, Dee, pożyczę ci swój.
- Luke zjawił się w hotelu następnego ranka. Przywiózł ze sobą obiecany szal.

- Dziękuję - powiedziała Dee, przyjmując ładnie opakowaną paczuszkę.

Otworzyła zawiniątko i aż jęknęła z zachwytu. Szal był z kremowego jedwabiu, pokryty delikatnym haftem. Wyglądał na zupełnie nowy, jakby nikt nigdy go nie używał. Gita zapewne przysłała jeden ze swoich najlepszych szali.

- Jest śliczny - westchnęła Dee. - Jak to miło, że Gita o mnie pamiętała.

Okryła delikatną tkaniną swoje czarne włosy, jeden koniec szala przerzuciła przez ramię, tak jak to robiły Hinduski.

- Rzeczywiście - potwierdził Luke.

Tak na nią spojrział, że Dee się zaczerwieniła. Nie wiedziała, czy chodzi mu o szal, czy może o to, jak ona w nim wygląda.

Nie życzyła sobie komplementów. Na pewno nie od niego. Ale nie miała czasu dłużej się tym zajmować, bo Luke natychmiast przeszedł do ofensywy.

- Dzisiaj nakrycie na głowę nie będzie ci tak bardzo potrzebne - pouczał ją. - Pojedziemy klimatyzowanym minibusem. Przekonasz się, że zwiedzanie wcale nie musi być męczące.

A najważniejsze, że nie będę zupełnie sama, pomyślała. Przecież o to mu chodziło. Sam mi to wczoraj powiedział. Dlatego ośmiela się zawracać głowę tym miłym ludziom. Na moje szczęście Gita i Manoj przez cały czas będą nam towarzyszyć.

Manoj i Luke na zmianę prowadzili minibus, a dzieci były grzeczne jak aniołki. Widocznie onieśmiala je obecność obcej kobiety. A może rodzice kazali im się zachowywać najlepiej, jak potrafią.

Dee doskonale nawiązywała kontakt z dziećmi, tak więc i ci dwaj malcy, zachęceni przyjaznymi zaczepkami nowej cioci, wkrótce zaczęli się zachowywać normalnie.

Dopiero w połowie drogi do Agry Dee przypomniała sobie, że dotąd nie podziękowała Gicie za piękny szal. Natychmiast naprawiła swój błąd.

- To nie jest mój szal - wzbraniała się Gita. - Ale nie myśl sobie, że pragnę się wycofać. Jeśli chcesz, jeszcze dziś pożyczę ci któryś z mojej kolekcji. Byłabym to zrobiła wczoraj, ale Lukę tak bardzo chciał ci podarować szal, że nie pozwolił mi nawet sięgnąć do szafy. Miał nadzieję, że zechcesz go zatrzymać jako pamiątkę z Indii.

- Ani słowem nie wspomniał, że to prezent od niego. Dee wreszcie zrozumiała, jak to się stało, że szal idealnie

pasował kolorem do jej ubrania. Lukę miał doskonały gust i jeszcze lepszy zmysł obserwacji, toteż dobranie odpowiedniego dodatku nie sprawiło mu najmniejszego kłopotu. Tylko po co miałby jej robić prezenty?

Pozwolił, żebym przyjęła szal, pomyślała zmartwiona. Dobrze wiedział, że gdy raz go nałożę, nie będę miała dość siły, żeby go zwrócić. Na pewno wie, że zachowam ten szal nie tylko jako pamiątkę z Indii, ale przede wszystkim jako pamiątkę po nim. Dlaczego on to wszystko robi?

Wiedziała, że po powrocie do Anglii już nigdy więcej nie zobaczy Luke'a Ransoma. Nie miał żadnego powodu, żeby sprawiać jej takie prezenty. Chyba że - jak wszyscy bogaci ludzie - lubił mieć przewagę nad innymi, lubił, żeby wszyscy poddawali się jego woli. Choćby tylko w tak drobnej sprawie jak noszenie szala, który komuś podarował.

Dee bez wahania uznała, że Lukę jest zręcznym intrygantem i każdego potrafi skłonić, aby tańczył tak, jak on mu zagra. Pomimo polecenia Billa postanowiła zachować dystans. A przynajmniej spróbować to zrobić.

Najchętniej zdjęłaby szal, schowała go do kieszeni, ale bała się, że taka manifestacja sprawiłaby Luke'owi ogromną radość. Pozostawiła więc go na głowie, choć wydawał jej się gorący jak dotknięcie dłoni Luke'a i ciężki jak jego władcze spojrzenie.

Piękny jedwabny szal stał się symbolem kolejnego zwycięstwa Luke'a Ransoma, przerażającym dowodem na to, z jaką łatwością ten przystojny młody pan przejął kontrolę nad samodzielną i niezależną Dee Tredinnick.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Zwiedzanie zaczniemy od fortu - powiedziała Gita, gdy dojeżdżali do Agry. - Potem obejrzymy sobie miasto, pochodzimy po bazarze i zjemy lunch. Tadź Mahal zostawimy na deser. Co ty na to, Manoj?.

- Nic - odparł ze śmiechem. - Dzisiaj ty jesteś szefem. Ja tylko prowadzę samochód.

Agra także była pełna zabytkowych budowli. Dee chłoneła ich piękno wszystkimi porami skóry i bardzo uważnie słuchała objaśnień Gity. Tak szczegółowe informacje trudno byłoby znaleźć w najlepszym nawet przewodniku.

Mimo to chłopcy zasypywali matkę tysiącem pytań, które Dee sama miała ochotę zadać, lecz wstydziła się przyznać, że tak mało wie.

Gdy wyszli z meczetu, zastąpił im drogę orszak ślubny. Samochody udekorowane girlandami ze świeżych lilii sunęły majestatycznie samym środkiem wąskiej ulicy, a przechodnie zatrzymywali się i pozdrawiali młodą parę.

Lukę, Gita, Manoj i obaj chłopcy także wykrzykiwali błogosławieństwa, radośnie machali rękami, więc Dee nie pozostało nic innego, jak tylko dołączyć do nich.

- Nie zazdrościsz pannie młodej? - zażartowała Gita.

- Czego miałabym jej zazdrościć? - spytała Dee. - Przecież ci mówiłam, że nie chcę się z nikim wiązać.

Wiedziała, że Luke na nią patrzy, uważnie słucha, ale tym razem jej to nie przeszkadzało. Jej plany życiowe nie miały z nim nic wspólnego i dobrze się stało, że od razu się o tym dowiedział.

- Patrzcie! Zaklinacz węży! - zawołała, gdy zbliżali się do bramy bazaru.

Zmrużyła oczy, chcąc lepiej widzieć żywą linę wyginającą się w rytm muzyki przerażająco blisko twarzy zaklinacza.

- To chyba grzechotnik.

- Nie grzechotnik, tylko kobra. - Luke nie omieszkiał skorzystać z okazji, żeby zademonstrować swoją wyższość.

Dee nie rozumiała, dlaczego tak głupio się pomyliła. Przecież dobrze wiedziała, że zaklinacze węży trzymają kobry. Czytała o tym w książkach podróżniczych, kiedy była jeszcze całkiem małą dziewczynką.

Na wszelki wypadek obarczyła winą Luke'a. To przez niego zachowywała się niemądrze, przez niego nogi jej się plątały i myliły słowa.

Bazar zachwyił ją feerią barw, różnaitością zapachów. W byle jakich kramach sprzedawano wielkiej urody dywany, delikatne brokaty i misterną biżuterię. Nie tak piękną jak klejnoty maharadzów i na pewno nie taką ceną, ale Dee i tak nie mogła od niej oczu oderwać.

Po lunchu pojechali zobaczyć Tadź Mahal.

Grobowiec oraz dwa meczety z piaskowca stojące po obu jego stronach położone były w wybrukowanych marmurem ogrodach. Na dziedziniec prowadziła potężna brama. Gita wyjaśniła, że w tradycji muzułmańskiej brama taka symbolizuje przejście pomiędzy królestwem zmysłów a królestwem ducha.

Dee była oczarowana. Najpierw zobaczyła prosty, wąski basen okolony ciemnozielonymi cyprysami, a dopiero potem jej oczy spoczęły na wielkim, poziomym cokole wspierającym mauzoleum, a potem na samym grobowcu. Kopuła w kształcie kwiatu wznosiła się ku górze w idealnej harmonii z lukami ozdobionymi misternie rzeźbioną w kamieniu koronką, mniejszymi kopułami oraz czterema minaretami. Grobowiec odbijał się w basenie umiejscowionym u jego stóp w taki sposób, żeby patrzący na niego mogli widzieć jednocześnie dwie budowle: tę prawdziwą i tę odbitą w lustrze wody. Powiał lekki wiatr, odbicie się poruszyło, obraz się zamazał. Dee pomyślała, że tak samo zamazywał się obraz prawdziwego grobowca, kiedy mąż zmarłej patrzył na niego zapłakanymi po stracie ukochanej żony oczami.

Dee także miała łzy w oczach, gdy Gita snuła opowieść o wielkiej miłości cesarza Mogołów, dawnych władców tej ziemi. Opowiadała o pięknej kobiecie, z którą nie pozwolono mu się ożenić, o tym, jak w końcu dopiął swego i jak ukochana żona umarła podczas kolejnego porodu. Gita mówiła o cierpieniu cesarza i o jego pragnieniu wystawienia ukochanej pomnika, który przetrwałby wieki.

Żadna inna historia miłosna nie poruszyła Dee tak bardzo jak ta, którą przed chwilą usłyszała z ust Gity. Może dlatego, że miała przed sobą materialny ślad, nienaruszony dowód na istnienie prawdziwej miłości.

- Dla takiej miłości chyba nawet wolność można by poświęcić - zawołała Dee.

- Chyba? - zapytał stojący za jej plecami Luke. - Nawet tutaj nie jesteś tego pewna?

Dee spojrzała na niego wystraszona. Zaraz jednak spuściła

wzrok, niezdolna patrzeć w te jego płonące cętki, które paliły ją nawet wtedy, gdy odwróciła się do nich plecami. Grzały ją w głowę i to mimo szala, który tak doskonale chronił przed promieniami słońca, a tym diabelskim iskierkom na wszystko pozwalał.

Wracali do Delhi wyciszeni, zadumani. Nawet dzieci przycichły.

- Zapraszam was wszystkich na kolację - powiedział Luke, gdy zatrzymali się przed hotelem, w którym mieszkała Dee. - Niestety, wy już wtedy będziecie spali - uśmiechnął się do chłopców. - Ale nic straconego. W środę postawię wam obu wielkie lody.

Może i jest apodyktyczny, ale jeśli chce, potrafi być bardzo delikatny, pomyślała Dee.

Nie protestowała, kiedy odprowadził ją do hotelu, i nawet położyła się do łóżka, tak jak jej kazał. Miał rację, bo mimo że podróżowali klimatyzowanym autem, wycieczka do Agry bardzo zmęczyła Dee.

Luke zjawił się punktualnie o siódmej. Tak jak poprzedniego dnia czekał na Dee u stóp schodów, dzięki czemu omal nie przewróciła się o własne nogi.

Postanowiła więc, że wcale nie będzie na niego patrzeć. Na szczęście restauracja hotelu, w którym mieszkał Luke i do której ich zaprosił, była tak piękna, że Dee nie musiała się nawet o to starać.

Rzeźbione w marmurze koronki, niezliczone posążki, kolorowe dywany i świetliste draperie były istnym dziełem sztuki. W takim otoczeniu jak to nawet suchy chleb smakowałby wybornie.

- Ten hotel był kiedyś pałacem - objaśnił Manoj.

Jasne, pomyślała Dee. Gdzie indziej jak nie w pałacu miałby się zatrzymać król antykwariuszy?

- Bardzo wiele naszych pałaców trzeba było zamienić na hotele - ciągnął Manoj. - Inaczej nie zarobiłyby na swoje utrzymanie. Zresztą podobnie jak stare siedziby rodowe angielskiej szlachty.

Tylko w ten sposób można zachować przepych tych pałaców dla przyszłych pokoleń.

- To jest wspaniałe! - entuzjasmowała się Dee. - Zupełnie nie z tego świata. Gdyby nie urządzono tutaj hotelu, pewnie nigdy nie miałabym okazji zobaczyć od środka prawdziwego pałacu maharadży.

- Jeśli chcesz, to ci opowiem jego historię - zaproponowała wszystkowiedząca Gita. - Chyba że masz dość historii jak na jeden dzień.

- Niczego nie mam dość - zaprotestowała Dee. - Opowiadaj.

Historia była bezpieczna: skończona i niezmienna. Doskonałe antidotum na niepokój i oszalałą gonitwę jej własnych myśli. Dee wolała słuchać o wielkiej miłości, o bohaterskich czynach, niż zastanawiać się nad tym, czemu nie warto było poświęcać ani jednej myśli.

- Szkoda, że Bill nie może pokazać tej swojej wystawy w Indiach - westchnęła Dee, gdy Gita skończyła opowiadanie, które trwało prawie tak długo jak posiłek. - Tu jest znacznie bardziej romantycznie niż w Anglii.

Lukę patrzył na nią rozbawiony.

Dlaczego ja zawsze muszę wygadywać takie głupoty, pomyślała, czerwieniąc się aż po cebulki włosów. Samodzielna kobieta nie powinna nawet myśleć o romantyczności, a co dopiero o niej mówić. Po co ja się w ogóle odzywałam? Dlaczego pa-

plam jak głupia gęś, zanim dobrze się zastanowię nad tym, co chcę powiedzieć?

- Nie będzie wystawiał w National Exhibition Centre? - zapytał Luke. - Zazwyczaj tam prezentuje swoje wystawy.

Dee się zdziwiła. Jak na człowieka, który konsekwentnie odmawiał korzystania z usług WW, Luke bardzo dużo wiedział o działalności firmy.

- Tym razem nie - odparła. - Szuka bardziej odpowiedniego miejsca. Takiego, które pasowałoby do eksponatów. Zaproponowałam mu zamek Windsorów - zażartowała.

- Czy ma już coś upatrzonego? - zapytał całkiem poważnie Luke. - Oczywiście poza pałacem królewskim.

- Kiedy wczoraj wieczorem rozmawiałam z nim przez telefon, jeszcze niczego nie wymyślił.

- Wobec tego nie wiadomo także, kiedy rozpocznie się ta wystawa - stwierdził Luke tym swoim wszyskwiedzącym tonem.

- Wiadomo, że pod koniec września. Najpóźniej na początku października. - Dee koniecznie musiała być mądrzejsza od niego. - Ale rzeczywiście nie ma jeszcze żadnego konkretnego terminu. Trudno ustalać terminy, skoro nie wiadomo, gdzie odbędzie się wystawa.

- Jasne. - Luke skinął głową w zamyśleniu.

- Świetnie się składa - ucieszył się Manoj. - Ta wasza wystawa będzie jeszcze otwarta, kiedy przyjedziemy do Anglii. Bardzo bym chciał, żeby Gita ją obejrzała.

- Wcale nie żałuję, że pokażecie ją w Anglii - roześmiała się Gita. - Tutaj byłoby za gorąco.

- A ja myślałam, że wam upał nie przeszkadza - zdziwiła się Dee. - Zresztą też lubię, kiedy jest ciepło, ale w Delhi jest nie tylko gorąco, ale także bardzo wilgotno.

- Nas również te upały wykańczają - przyznał Manoj.
 - Na kilka dni wyjeżdżamy w góry - powiedziała Gita. -Musimy parę dni odpocząć przed wyjazdem do Anglii. Może byś z nami pojechała? Mamy duży dom i byłibyśmy bardzo radzi, gdybyś zechciała nam towarzyszyć. Wyjeżdżamy w środę, jak tylko panowie wrócą z meczu.
 - Dziękuję za zaproszenie. Naprawdę bardzo chciałabym pojechać z wami, ale niestety, nie mogę wyjechać z Delhi. -Dee była szczerze zmartwiona. - Co będzie, jak podczas mojej nieobecności przywiozą resztę eksponatów?
 - Luke powiedział, że to może potrwać co najmniej dziesięć dni - kusiła Gita. - To mnóstwo czasu. Po co masz siedzieć sama w hotelu?
 - Bezsensowna strata czasu - wtrącił się Luke. - Jedź z nimi. Na wszelki wypadek zostaw Johnowi swój numer telefonu, chociaż jestem pewien, że to zbyteczna przezorność.
- Dee poczuła się osaczona. Ani przez chwilę nie wątpiła, że propozycja wyjazdu w góry była pomysłem Luke'a. Dokładnie tak samo jak wycieczka do Agry. Luke postanowił zagospodarować jej wolny czas i robił to skutecznie, nie pytając jej o zdanie, boleśnie raniąc jej godność i zagrażając świeżo zdobytej niezależności.
- Chciała mu powiedzieć, że nikomu nie zostawi swego numeru telefonu i że nie zamierza robić tego, co Luke jej rozkaże. A jednak nie miała ochoty siedzieć przez dwa tygodnie w lepkiem upale Delhi. Chyba że przez cały ten czas nie wytknęłaby nosa z klimatyzowanego hotelu. A więc miała do wyboru: umrzeć z powodu upału albo umrzeć z nudów. Naprawdę żałosny wybór.
- Wobec tego pojedę - oświadczyła. - Naprawdę nie mogę

znieść tego upału, a na przesiadywanie w hotelu rzeczywiście szkoda czasu.

To była kapitulacja, lecz Dee nie zamierzała się przyznać do kolejnej porażki. Wołała, by wszyscy odnieśli wrażenie, że to jej własna decyzja i że podjęła ją bez żadnych nacisków, zaś wola Luke'a nic a nic dla niej nie znaczy.

Dopiero po chwili zorientowała się, że mówił wyłącznie o niej. A przecież on też musiał poczekać na nadejście reszty eksponatów. Czyżby nie zamierzał pojechać w góry ze swoimi przyjaciółmi?

Właściwie powinna się ucieszyć z takiego obrotu sprawy, a jednak zrobiło jej się smutno. Jakby czegoś żał.

Ten żal jeszcze się pogłębił, kiedy żegnając się z Gitą i Manojem, Luke powiedział, że wyjeżdża do Kalkuty i wróci dopiero w środę.

Co za typ, pomyślała rozzalona Dee. Najpierw dysponuje mną, jakbym była rzeczą, a potem, kiedy mu wygodnie, zostawia mnie całkiem samą.

Nie rozumiała, skąd wzięła jej się ta absurdałna myśl i nieuzasadniony żal. Zaledwie kilka godzin temu o niczym innym nie marzyła. Skakałaby z radości, gdyby się okazało, że przez kilka dni nie będzie musiała oglądać Luke'a Ransoma. A kiedy wreszcie ją od siebie uwolnił, poczuła się osamotniona, opuszczona, właściwie nawet porzucona.

Po kolacji Luke szarmancko odwiózł ją do hotelu. Gita i Manoj zaproponowali, że oni to zrobią. W końcu mieli po drodze i przekonywali, że to bez sensu, żeby Luke specjalnie wychodził na miasto, ale on się uparł. Jak osioł.

Albo jak Luke Ransom, pomyślała złośliwie Dee.

Przez całą drogę siedziała naburmuszona, zła. Nie tyle na

niego, co na siebie. Nie dlatego, że zostawiał ją samą, lecz dlatego, że było jej przykro z tego powodu, który jeszcze niedawno sprawiłby ją w szampański humor.

Luke zatrzymał samochód przed hotelem i wyłączył silnik. Bez ostrzeżenia, bez jakiegokolwiek zapowiedzi przytulił Dee do siebie i pocałował.

- Dobranoc - powiedział cicho.

Czegoś takiego po nim się nie spodziewała. Tak ją zaskoczył, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa, nie potrafiła się nawet obronić.

Chociaż nie była w tej dziedzinie nowicjuską, czuła, że tym razem dzieje się z nią coś niezwykłego. Nawet gdy była z Alanem, zawsze wiedziała, co robi, zawsze w pewnym sensie panowała nad sytuacją. Teraz zaś tuliła się do Luke'a oszołomiona, całkowicie bezbronna. Chciała jakoś zaprotestować, ale jej nieposłuszne usta ani myślały z nią współpracować. Stokroć bardziej wolały słodki pocałunek Luke'a Ransoma.

Dopiero po chwili wrócił gniew, oburzenie na tego człowieka, któremu najwyraźniej wydawało się, że do wszystkiego ma prawo, że może sobie brać, na co tylko przyjdzie mu ochota.

Dee wreszcie przestała go całować. Chciała się odsunąć, ale trzymał ją mocno.

- Coś nie tak? - zapytał. - Czy wolna i niezależna pracująca dziewczyna nie lubi, kiedy się ją całuje? Tego już było za wiele. Tym bardziej że pocałunek Luke'a sprawił ją w zachwyt. A jednak wolałaby umrzeć, niż się do tego przyznać.

- Nie - odparła z mocą.

- Przez nikogo, czy tylko przeze mnie? - chciał wiedzieć Luke. — Mówiłaś, że nie masz narzeczonego.

Była wściekła na siebie, że mu o tym wspomniała. Była także wściekła na Luke'a, że zapamiętał informację i teraz wykorzystał ją przeciwko niej.

Przecież od początku wiedziałam, że zapamiętuje każde moje słowo, pomyślała. Dlaczego nie wymyśliłam sobie jakiegoś narzeczonego? Dlaczego znów dałam się podejść?

- Przez nikogo - parsknęła jak kotka. - Puść mnie!

Uratowało ją nadejście boya hotelowego. Podszedł do samochodu i otworzył drzwi. Dee wysiadła tak szybko, że się potknęła. Byłaby upadła, gdyby boy jej nie podtrzymał.

Zanim wysiadła, a raczej uciekła z samochodu, zdążyła usłyszeć słowa wypowiedziane przez Luke'a:

- Ja tu jeszcze wrócę - oznajmił.

Pędziła po schodach jak wiatr. Dopiero kiedy stanęła przed wielkimi oszklonymi drzwiami, kiedy poczuła się bezpieczna, odwróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć, choćby tylko na jego odjeżdżający samochód. Nie mogła się powstrzymać.

Natychmiast tego pożałowała. Zobaczyła, jak Luke macha do niej ręką. A więc obserwował ją w lusterku! Widział, że się za nim obejrzała!

Weszła do swego pokoju, trzęsąc się ze złości. Była wściekła na siebie jak nigdy dotąd i jak nigdy dotąd miała po temu poważne powody.

Zrzuciła sandały, cisnęła w kąt torebkę i wpadła do łazienki. Szorowała twarz pod bieżącą wodą, ale ani mydło, ani woda nie zdołały zmyć z jej ust piekącego śladu, jaki wypalił na nich pocałunek Luke'a. Zdawało jej się nawet, że im bardziej szoruje, tym bardziej ją boli. Czyżby z tęsknoty?

Chodziła po pokoju tam i z powrotem, jak dzikie zwierzę zamknięte w za ciasnej klatce. Właściwie powinna zadzwonić

do Billa i opowiedzieć, jak się sprawy mają, ale była zbyt zdenerwowana, żeby prowadzić rozmowy. Jakiegokolwiek, nawet służbowe. Zwłaszcza służbowe.

Bill zbyt dobrze ją znał, żeby nie wyczuć jej zdenerwowania. Na pewno by zapytał o powody, a Dee nie potrafiłaby okłamać szefa. I nie zniosłaby żartów dotyczących jej i Luke'a.

Nie chciała do nikogo dzwonić, ale ktoś zadzwonił do niej. Jak na złość.

Dee była tak zaprzątnięta myślami i bieganiną po pokoju, że aż podskoczyła, usłyszawszy przenikliwy dzwonek. Przestraszona spoglądała na telefon.

Może to Luke, pomyślała. Bzdura! Zupełnie niemożliwe. Jeszcze nie dojechał do swojego hotelu. No tak, zapomniałam, że ma telefon komórkowy. Ale po co miałby dzwonić, skoro przed chwilą się ze mną pożegnał?

Pomyślała „przed chwilą”, choć tak naprawdę wydawało jej się, jakby od pożegnania z nim minęły całe wieki.

Koniecznienie musiała to sprawdzić. Spojrzała na zegarek. Okazało się, że rozstali się niecałe dziesięć minut temu.

A może dzwoni Gita, wpadło do głowy Dee. Coś jej wypadło w szpitalu i okaże się, że jednak nie mogą wyjechać w góry.

Oprzytomniała. Nie zastanawiając się dłużej, podniosła słuchawkę.

- Dee Tredinnick - powiedziała prawie spokojnie. - Słucham.

- Nareszcie jesteś! Od godziny próbuję się do ciebie dodzwonić.

- Bill? Czy coś się stało?

Bill nigdy nie telefonował do swoich kurierów. To oni meldowali się jemu. Jeśli zrobił wyjątek od reguły, znaczyło to, że

wydarzyło się coś nadzwyczajnego, jakaś nagła zmiana dyspozycji albo inne nieszczęście.

- Musiałeś odwołać wystawę? - zaniepokoiła się Dee. - Masz taki zmieniony głos.

To wcale nie byłoby takie najgorsze rozwiązanie, pomyślała. Gdyby Bill zrezygnował z pokazania wystawy, mogłaby natychmiast wrócić do domu i nigdy więcej nie spotkałaby się z Lukiem.

Niestety, ta myśl okazała się znacznie mniej przyjemna, niż się Dee spodziewała. Zamknęła oczy, modląc się w duchu, żeby tylko Bill nie odwołał wystawy, żeby nie kazał jej natychmiast wracać, żeby mogła jeszcze choć raz zobaczyć Luke'a.

- Pewnie, że mam zmieniony głos - powiedział radośnie Bill. - Czemu by nie? Cały jestem odmieniony. Nie ten sam człowiek! Nie tylko nie mam żadnego powodu, żeby odwoływać wystawę, ale wprost przeciwnie. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, iż wszystko jest w najlepszym porządku, a ty jesteś moim ulubionym pracownikiem.

Dee coraz mniej z tego wszystkiego rozumiała. Bill nigdy się tak nie zachowywał.

- Piłeś coś? - zapytała podejrzliwie. - Co się z tobą dzieje? Bill nie używał alkoholu. Dee nigdy nie widziała, żeby pił

cokolwiek poza kawą, którą zawsze sam sobie przygotowywał.

- Nic nie piłem i nic się nie dzieje - roześmiał się Bill. - Dopiero się stanie. Od następnego miesiąca podwajam ci pensję.

- Na pewno piłeś. - Teraz już Dee nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nie wiedziała tylko, co też mogło skłonić Biła do tego drastycznego kroku.

- Jeszcze nie. Przysięgam. Ale jak skończę z tobą rozmawiać, otworzę butelkę szampana. Mam co świętować.

- Jeśli zaraz nie przestaniesz wygadywać głupot, to odłożę słuchawkę - zagroziła Dee. - Powiedz mi wreszcie, co się stało. Co to za święto, że trzeba aż otwierać szampana?

- Tylko mi nie wmawiaj, że o niczym nie wiesz.

- Masz dziesięć sekund na to, żeby mówić z sensem. - Dee coraz bardziej niepokoiła się o zdrowie szefa. - Jeden, dwa...

- Ty chyba naprawdę o niczym nie wiesz! - zawołał szczerze zdumiony Bill. - Ransom nic ci nie powiedział?

- Co miał mi powiedzieć? Ostrzegam cię, Bill. Trzy, cztery...

- Popatrz, jaki dyskretny - śmiał się Bill.

- Pięć...

- Nie wściekaj się, już mówię - mitygował ją Bill. - Wyobraź sobie, że zadzwonił do mnie godzinę temu i zaproponował, żebym pokazał wystawę w Ransom Court. Jeszcze teraz trudno mi w to uwierzyć. Czy ty masz pojęcie, co to znaczy? Ransom zaproponował, żebym urządził wystawę w jego domu! Ot, tak sobie. Ni z tego, ni z owego.

- Co takiego? - Dee sądziła, że się przesłyszała.

- Naprawdę. - Bill pozbawił ją ostatniej nadziei. - Nie wiem, jak ci się udało go do tego namówić. Ransom Court jest milion razy lepszy od zamku Windsorów. Przynajmniej dla naszej wystawy. Leży w samym środku Chiltern Hills. O tej porze roku jest tam naprawdę pięknie. Liście buków robią się czerwone... Po prostu marzenie! - Bill cieszył się jak dziecko. - Naprawdę idealne miejsce! Jest na wsi, ale na tyle blisko od Londynu, że ludzie bez trudu tam dojadą.

Dee prawie go nie słyszała. Trzęsła się jak osika. Nogi tak jej drżały, że musiała usiąść na łóżku, żeby nie upaść.

Co za typ! Jednym słówkiem się nie zdradził. Nawet kiedy

odwoził mnie do hotelu. Zresztą po co miałby mi cokolwiek mówić, myślała rozgoryczona. Jestem tylko zwykłym kurierem, może nawet ceną, jaką firma musi zapłacić za jego przychylność. Dlaczego miałby mnie wtajemniczać w swoje plany?

- Nie przyjąłem jeszcze tej propozycji. - Głos Billa z trudem przedarł się przez oszalałe myśli Dee.
 - Dlaczego? Przecież bardzo tego chcesz. Sam powiedziałeś...
 - Pewnie, że chcę. To byłaby prawdziwa perła w koronie WW. O ile wiem, nikomu nigdy nie udało się namówić Ransoma na pokazanie swojego domu. Nawet wszechmocna prasa nic nie wskórała.
 - Wobec tego nie rozumiem, nad czym się zastanawiasz.
 - Nad tobą. - Bill wreszcie spowaźniał.
 - A co ja mam z tym wspólnego? - zdziwiła się Dee.
 - Zanim przyjmę propozycję Ransoma, muszę się dowiedzieć, co za tym stoi. Nie bardzo wiem, jak mam ci to powiedzieć...
 - Najlepiej prosto z mostu - zachęciła go Dee. Jej podejrzliwość rosła z każdą chwilą.
 - Kiedy cię prosiłem, żebyś dbała o Luke'a Ransoma najlepiej, jak potrafisz, miałem na myśli... No wiesz... Nie żądałem od ciebie, żebyś zrobiła coś, czego byś potem żałowała. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym ci wydać takiego polecenia.
 - Ach, więc o to ci chodzi!
- Dee miała ochotę się śmiać. Albo lepiej rzucić czymś ciężkim o podłogę. Albo jeszcze lepiej w Billa. Jednak była bardzo ciekawa, co takiego Lukę powiedział jej szefowi, co kazało Billowi nie przyjąć natychmiast tej wspaniałej propozycji.
- Chyba masz fioła! - zawołała. - Nie, nie zrobiłam nicze-

go, czego bym potem żałowała, jak to delikatnie ująłeś. Jak w ogóle mogłeś w to wątpić?

- Ransom jest przystojny jak diabeł - usprawiedliwił się Bill.

Dee pomyślała, że to określenie doskonale do Luke'a pasuje. Nie to, że jest przystojny, ale że jak diabeł. W jej mniemaniu był diabłem w ludzkiej skórze.

- Myślałam, że mnie dobrze znasz - powiedziała rozzalona. - Żaden przystojniak nie zdoła mnie zmusić do zrezygnowania z wolności. Jestem dla tego faceta miła i to wszystko. Nie robię niczego, co by wykraczało poza zawodową uprzejmość. Naprawdę nie musisz się o nic martwić. Luke Ransom nie ma u mnie żadnych szans. Prawdę mówiąc, nawet nie bardzo go lubię.

- Bogu dzięki i za to! - Dee usłyszała, jak Billowi spada kamień z serca. - Wobec tego z czystym sumieniem mogę przyjąć jego propozycję. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Może wreszcie chce się komuś pochwalić swoim domem.

- Łaska pańska rzadko kiedy bywa bezinteresowna - mruknęła Dee.

- Tym razem trudno sobie wyobrazić, że Ransom mógłby mieć w tym jakiś interes. Chyba że... On chce, żebyś pomagała organizować wystawę, ale po tym, co mi powiedziałaś, nie rozumiem, do czego jesteś mu potrzebna.

- Ja? - zawołała oburzona. - Dlaczego ja? Kurierzy nie organizują wystaw.

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz - zauważył filozoficznie Bill. - Wiesz, jak bardzo mi zależy na tej wystawie. A zwłaszcza w takim miejscu. Zamówiłem już dla ciebie specjalną bluzę z logo naszej firmy. Niech wszyscy wiedzą, że udało nam się wdrapać na sam szczyt.

Zamienili jeszcze kilka słów, wymienili uprzejmości i wreszcie Bill się rozłączył. Ale Dee wciąż nie mogła ochłonąć z wrażenia.

Jeśli Lukę sobie wyobraża, że będzie tańczyć tak, jak on mi zagra, to grubo się pomylił, myślała. Nie chciała mówić o tym Billowi, ale ona dobrze wiedziała, że i tym razem łaska pańska nie jest bezinteresowna. To Dee miała być zapłatą. A raczej nie ona, lecz jej wolność. Na szczęście tylko na czas trwania wystawy.

Pułapka już się zamknęła. Lukę jeszcze raz zapędził ją w kozi róg. I tak to zorganizował, że nie mogła się stamtąd wydostać, jeśli nie chciała zrujnować firmy Billa, a tym samym podciąć korzeni własnej egzystencji. Musiała zostać, choć oznaczało to dla niej ryzyko znoszenia kolejnych demonstracji Luke'owej siły, jego absolutnej władzy nad jej życiem. Na szczęście tylko tymczasowo i to było pocieszające.

Dee spodziewała się, że tych kilka dni samotności przyniesie jej wreszcie ulgę. Niestety, i tutaj się pomyliła.

Upał stał się nie do zniesienia, słońce bardziej dawało jej się we znaki teraz, kiedy była skazana wyłącznie na swoje towarzystwo, a miejsca, które zwiedzała, stały się trochę nijakie. Może dlatego, że nie było z nią Luke'a?

Broniła się przed tą myślą, ale choć zameczała się na śmierć, spacerując po mieście w lepkim upale, nie mogła zapomnieć o Luke'u Ransomie. Kiedy go przy niej nie było, stawała się mniej spostrzegawcza, nie zauważała ani połowy tych detali, które widziała, gdy jego czujne spojrzenie i ją zmuszało do wyteżonej uwagi.

Ani zgiełk zatłoczonych bazarów, ani przeciągłe nawoływa-

nie muezzina wzywającego wiernych do modlitwy, ani nawet ciche brzęczenie dzwonków świątynnych nie zdołały ukoić jej skołatanych nerwów.

Czasami czuła wokół siebie ramiona Luke'a, czuła na ustach jego pocałunek. Było to uczucie tak rzeczywiste, że rozglądała się wokół i zdumiona stwierdzała, że jest całkiem sama.

Wreszcie musiała się przed sobą przyznać: tęskniła za Lukiem Ransomem.

Zobaczyła go dopiero w środę po południu, kiedy razem z Manojem i chłopcami wrócili z meczu.

Chłopcy skakali koło Dee, opowiadając jeden przez drugiego swoje wrażenia.

- Dajcie jej wreszcie spokój - ofuknęła ich matka. - Nie każdy ma takiego fioła na punkcie krykieta, jak wy.

- Wujek Luke kupił nam lody. - Chłopcy posłusznie zmienili temat. - Jak coś obieca, to zawsze dotrzymuje słowa.

Dee skinęła głową. Ona także zdążyła już poznać tę cechę jego charakteru. Przygotowała się na najgorsze, ale on nawet na nią nie spojrział.

Luke podszedł do niej dopiero wtedy, kiedy pomógł Manojowi zapakować bagaże. Dee na wszelki wypadek się nastroszyła.

- Cześć - przywitał się z nią jak gdyby nigdy nic i zaraz odwrócił się do czepiających się jego rąk dzieciaków. - Teraz wy wsiadacie.

Podrzucał każdego po kolei, udając, że chce go umieścić w bagażniku, tak samo jak walizki. Chłopcy piszczeli z uciechy, a kiedy oddawał ich w ręce niani, która miała razem z nimi jechać w góry, nadstawiali buzie do całowania.

Dee patrzyła na niego i nie mogła się dość nadziwić. Wobec dzieci był taki delikatny, taki czuły, podczas gdy ją brutalnie zmuszał, żeby robiła dokładnie to, na co on miał ochotę. Ciekawa była, czy wspomni jej o swojej rozmowie z Billem. Postanowiła sobie, że jeśli on nie podejmie tego tematu, to ona także nie przyzna się, że została wtajemniczona. Powinien mi o tym powiedzieć, myślała. Jeśli uważa, że jestem całkiem nieważna i nie warto mnie wtajemniczać w sprawy, które nas obojga dotyczą, to niech tak zostanie. Ja na pewno nie dam po sobie poznać, jak bardzo mnie to obchodzi.

A jednak jej ciekawość rosła z każdą chwilą. Zwłaszcza że godzina odjazdu zbliżała się nieuchronnie, a Lukę wciąż nie zamienił z nią ani słowa. Oczywiście poza tamtym obojętnym powitaniem. Dopieszczone dzieciaki siedziały w samochodzie, Lukę żegnał się z nianią, z Gitą i Manojem. Dee chciała wsiąść do samochodu, ale dzieci na to nie pozwoliły.

- Wujku! - zawołali chłopcy jednocześnie. - Zapomniałeś pożegnać się z Dee.

Zastygła w pół kroku. Ani przez chwilę nie wierzyła w to, że Lukę mógłby o tym zapomnieć. Tak czy inaczej dzieci mu przypomniały i nie mógł już dłużej udawać, że jej nie widzi.

- Rzeczywiście - powiedział.

Podszedł do niej, zaśniły diabelskie cętki w jego oczach.

Dee cofnęła się o krok, ale nie zdołała umknąć jego wyciągniętym rękoma. A może nie chciała? W końcu czekała na to całe dwa długie jak wieczność dni.

Lukę przytrzymał ją, jakby się spodziewał, że może mu uciec, po czym uniósł do góry i pocałował prosto w usta.

- Ja tu jeszcze wrócę - szepnął jej do ucha tak cicho, żeby nikt oprócz niej tego nie usłyszał.

Dopiero potem postawił ją na ziemi i pozwolił wsiąść do samochodu.

Drżała jak liść na wietrze, ale bardzo się starała, żeby nikt niczego nie zauważył.

- Pomachaj wujkowi na do widzenia! - wołały dzieci. Same już od dawna machały jak oszalałe, choć samochód jeszcze nie ruszył.

Cóż miała zrobić? Machała i ona, choć wcale nie miała na to ochoty.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dee wiedziała na pewno, że Luke przyjedzie. Nie wiedziała tylko, kiedy.

Robiła wszystko, żeby przestać myśleć o tym mężczyźnie, ale najprościej było zająć się dziećmi.

Szalała z nimi do upadłego, a chłopcy nie posiadali się z radości.

Zazwyczaj bawili się z nianią, ale ona nie miała tyle energii co młodsza od niej i dużo szczuplejsza Dee.

Kiedy malcom przytrafiło się coś złego albo kiedy byli zmęczeni, wtulali się w mięciutkie ciało swojej niani. Ale do biegania za piłką pulchna niania nie bardzo się nadawała.

Lecz choć Dee całym sercem oddawała się grze, choć biegała prawie tak szybko jak wiatr, nie mogła uciec od obietnicy wyszeptanej przez Luke'a.

„Ja tu jeszcze wrócę” dźwięczało jej w uszach jak natrętna mucha. Przez to brzęczenie czasami tak bardzo potrafiła się zagapić, że nie zauważała piłki, która leciała prosto w jej ręce.

- Zachowujesz się, jakby cię tu wcale nie było - strofowały ją dzieci. - Powiedz, dokąd sobie poszłaś.

- Do Nibylandii - śmiała się wtedy.

Dee była bardzo rada, że chłopcy są zbyt mali, aby zauważyć, że dzieje się z nią coś dziwnego, a już na pewno nigdy nie domyśliliby się przyczyny tego niezwykłego zachowania.

Cień Luke'a nie odstępował jej ani na krok. Był z nią, kiedy

razem z dziećmi i ich nianią chodziła karmić kucyki pasące się na pobliskiej łące. Gdy kładła się spać, siadywał na jej łóżku i uśmiechał się tajemniczo.

Dee myślała tylko o tym, kiedy on wreszcie przyjedzie. Może jutro? A może dopiero pojutrze?

W chłodnym górskim powietrzu powróciła jej zwykła życiowa energia, którą lepki upał Delhi skutecznie przytłumił. Niestety, umysł nie chciał wracać do równowagi.

Dee nie posiadała się ze złości. Nie rozumiała, jak to się mogło stać, że pozwoliła Luke'owi niemal całkowicie zapanować nad swoimi myślami. Był tylko zwykłym mężczyzną, a jednak zagroził jej samodzielności, spokojowi ducha, a może nawet zdrowiu psychicznemu.

Dotąd żyła w przekonaniu, że ma silny charakter, że nie pozwoli sobie zamieszać w głowie, nie da się namówić na rezygnację z raz obranej drogi. A jednak Luke okazał się silniejszy od jej najmocniejszego postanowienia.

Dee uważała za poniżające, że myśli o nim zawładnęły całym jej umysłem i to nawet wtedy, gdy jego samego nie było w pobliżu.

Trzeciego dnia wakacji w górach Manoj powiedział z żalem: - Wygląda na to, że Luke'owi jednak nie uda się przyjechać. Mimo to Dee nie przestała go wyglądać. Choćby nie wiem jak się starała patrzeć w inną stronę, jej oczy wciąż wypatrywały na drodze nadjeżdżającego samochodu. Była coraz bardziej spięta, coraz łatwiej się irytowała. Obawiała się, że Gita i Manoj zauważą jej zdenerwowanie i pomyślą, że źle się czuje w ich towarzystwie. Pod żadnym pozorem nie chciała im sprawić przykrości.

Luke przyjechał piątego dnia, zaraz po śniadaniu.

Najpierw nad polem golfowym, które zbudowano z powodu coraz większej liczby zjeżdżających w tę okolicę turystów, pojawił się śmigłowiec. Dzieci pierwsze go zauważyły.

- Wujek Luke! Wujek Luke przyjechał! - wołali chłopcy jeden przez drugiego.

Pobiegli co sił w nogach, a za nimi podreptała niania, krzycząc bez wielkiego skutku, żeby nie ważyli się podchodzić zbyt blisko maszyny.

Dee chciała pobiec za chłopcami, może nawet ich wyprzedzić. Na szczęście zdołała się powstrzymać. Razem z Gitą i Ma-nojem szła powoli w stronę lądującego śmigłowca.

- Cieszę się, że mu się udało - odezwała się Gita. - Będziemy mogli spędzić razem kilka dni.

- Tak, to bardzo miło z jego strony - powiedziała Dee, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co mówi. Myślała tylko o tym, że wrócił, tak jak jej obiecał. Zawsze dotrzymywał słowa, toteż Dee nie wątpiła w jego przyjazd, chociaż nie spodziewała się, że Luke spadnie z nieba.

Śmigłowiec wylądował i już po chwili na polu golfowym ukazała się smukła sylwetka Luke'a. Na ten widok serce Dee zabiło mocniej.

Odetchnęła głęboko trzy razy. Ojciec już dawno nauczył ją tego prostego sposobu radzenia sobie ze stresem. Przedtem zawsze pomagał, nawet w najtrudniejszych sytuacjach życiowych. Niestety, tym razem okazał się nieskuteczny.

Serce Dee biło jak oszalałe, kiedy patrzyła, jak Luke pochyła się pod wirującymi łopatomy śmigłowca, jak chwyta chłopców i ucieka z nimi - każdym pod jedną pachą - od kurzu wzbijającego się spod maszyny.

A kiedy śmigłowiec uniósł się ponad ziemię, Luke podniósł chłopców wysoko, żeby mogli pomachać pilotowi na pożegnanie. Maszyna schowała się za pobliskimi wzgórzami. Luke postawił dzieci na ziemi i trzymając je za ręce, przyprowadził do rodziców.

Dee stała obok Gity i Manoja. Z pozoru spokojna, ale w środku cała się trzęsła.

- Wróciłem - oznajmił radośnie Luke, ani na chwilę nie spuszczać oczu z Dee.

Starła się na niego nie patrzeć, ale po prostu nie mogła. Jakby zahipnotyzowały ją lśniąca cętki w niezwykłych oczach Luke'a.

Obecność Luke'a przywróciła światu blask, pobudzała do życia. Dee musiała się do tego przyznać, choć zrobiła to bardzo niechętnie.

Odkąd Luke chodził z nimi karmić kucyki, nawet kwiaty na łące stały się bardziej kolorowe niż wtedy, kiedy jego przy niej nie było. Majestatyczne góry były wyższe, piękniejsze i bardziej wyraziste, gdy Luke nazywał poszczególne szczyty. Przestała także być gapą podczas gry.

- Coraz lepiej ci idzie - cieszyli się chłopcy. - Nie puściłaś dziś ani jednej piłki.

- No bo wreszcie się rozruszałam - tłumaczyła się Dee. Za nic na świecie nie chciała dopuścić do tego, żeby ktokolwiek skojarzył nagłą poprawę jej formy z obecnością Luke'a. - Nie grałam w piłkę, odkąd skończyłam szkołę.

Tamte szkolne gry miały znacznie bardziej skomplikowane zasady, podczas gdy w tej obowiązywały tylko dwie. Po pierwsze, piłka musiała jak najdłużej nie dotykać ziemi. Po drugie, jeśli ktoś złapał piłkę przeznaczoną dla kogoś innego, tamten ktoś tracił punkt.

- Rzuć ją szybko, Dee! - krzyczały dzieci. - No już, rzucaj. Rzuciła. Oczywiście do Luke'a. Wyciągnął ręce tak wysoko, jak tylko potrafił, ale piłki nie złapał. Chłopcy omal nie oszaleli z radości.

- Jeszcze jeden punkt dla ciebie! - zawołali uradowani. Pobiegnęła za nimi i za turlającą się po łące piłką. Była

zdenerwowana. Doskonale wiedziała, że Luke specjalnie wypuścił piłkę, choć bez najmniejszego wysiłku mógł ją zatrzymać. Zrobił to tylko po to, żeby Dee mogła zdobyć kolejny punkt.

Potraktował mnie jak małe dziecko, myślała poirytowana. Chłopcom nigdy nie daje forów, chociaż oni są naprawdę mali. Nie pozwoliłby sobie na protekcjonalizm wobec żadnego mężczyzny. Nawet nie całkiem dorosłego. Ale kobieta to co innego! Kobiety można bezkarnie traktować jak przygłupa. A potem jeszcze nazywać to kurtuazją.

W końcu jednak doszła do wniosku, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Postanowiła potraktować znajomość z Lukiem jak ważne doświadczenie życiowe, jak dodatkową szczepionkę. Bolesną, lecz konieczną.

Może to i lepiej, że Luke Ransom właśnie w tym momencie stanął na jej drodze, że musi się bronić przed despotą traktującym kobiety jak bezduszne lalki.

Jeśli teraz nie dam się oczarować, nie zrezygnuję z niezależności, to już nigdy żaden facet mi nie zagrozi, pomyślała.

Przecież chciała podróżować po świecie. Każdego dnia znów mogła spotkać na swojej drodze mężczyznę tak samo przystojnego, tak samo pociągającego i równie despotycznego jak Luke.

Musiała się nauczyć, jak się przed nimi bronić, bo w przeciwnym razie diabli wezmą jej wymarzoną wolność.

Tak czy inaczej ucieszyła się, że przytrafiło jej się to teraz, na samym początku kariery zawodowej. Domyślała się, że potem byłoby znacznie trudniej.

Kiedy po przygodzie z Alanem postanowiła z nikim się nie wiązać, nie pomyślała o najważniejszym. Całkiem zapomniała o tym, że jest kobietą i że ta kobiecość może się rządzić własnymi prawami. Drzemiąca w niej kobieta mogłaby, dokładnie tak jak to stało się teraz, dać się zauroczyć przystojnemu, pewnemu sobie mężczyźnie.

Dee nigdy wcześniej nie brała pod uwagę takiej ewentualności. Była naprawdę zaskoczona i bardzo przerażona swoją reakcją. Ale też nigdy żaden mężczyzna - nie wyłączając Alana - nie podniecał jej aż tak bardzo. Romans z Alanem mogła porównać do powolnej jazdy krętymi wiejskimi drózkami, podczas gdy przy Luke'u pędziła po najszybszym paśmie autostrady. Jeśli miała przeżyć, bezpiecznie dotrzeć na miejsce, musiała przez cały czas uważać, mieć oczy szeroko otwarte.

Ten cały Luke dosłownie z nieba mi spadł, uznała, tym razem naprawdę zadowolona z siebie. Ciekawe, co by zrobił, gdybym mu powiedziała, że zamierzam go użyć w charakterze worka treningowego.

Ta myśl pozwoliła jej się pozbierać. Przestała się denerwować.

- Nic musiałeś mi pomagać - powiedziała Luke'owi, odzyskawszy pewność siebie. - Bez twojej pomocy też potrafię zdobywać punkty.

Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. - Spojrzał na nią luk obojętnie, że Dee zrobiło się głupio. Pożałowała, że w ogóle się do niego odezwała. - Do głowy by mi nie przyszło, żeby zrobić ci takie świństwo, ale chłopcy tak bardzo mnie prosili, że nie umiałem im odmówić. Chcieli, żebyś chociaż raz wygrała. Naprawdę uważam, że powinnaś im wybaczyć. Są jeszcze mali i dlatego nie potrafią uszanować kobiecej niezależności.

Jak on śmie kpić sobie w ten sposób ze mnie i z mojej samodzielności, pomyślała, dotknięta do żywego.

Policzki jej płonęły. Zrobiły się jeszcze bardziej czerwone, kiedy zauważyła, że Lukę ją obserwuje. Na szczęście, nie zdawał sobie sprawy, jak celnie trafił.

A więc nie jest aż takim potworem, pomyślała skruszona. Nie dałby mi forów, gdyby dzieci tego na nim nie wymusiły. Na pewno skorzystałby z okazji i pokazał, na co go stać i kto tu jest zwycięzcą. Zauważyła, że wciąż ani słowem nie wspomniał o swojej rozmowie z Billem. Zresztą może tak właśnie było lepiej? Przynajmniej w tej jednej sprawie miała nad nim przewagę: wiedziała o tym, co on uważał za swoją tajemnicę.

Dee obiecała sobie, że kiedy - jeśli w ogóle - Lukę zdecyduje się powiedzieć jej o tym, ona zrobi mądrą minę i przyzna, że od dawna o wszystkim wiedziała, a potem zmieni temat rozmowy. Po czymś takim Lukę na pewno poczuje się co najmniej tak głupio, jak ona czuła się w tej chwili. Wreszcie będzie miał za swoje.

Na temat wystawy zaczęto rozmawiać dopiero następnego dnia. Wszyscy czworo siedzieli po obiedzie na werandzie, niespiesznie popijając kawę. Dzieci poszły do kolegi mieszkającego w sąsiedniej willi.

Luke musiał na chwilę odejść, bo wezwano go do telefonu. Wrócił, nie mówiąc nic nikomu, usiadł w fotelu i dopił wystygłą już kawę. Dopiero potem raczył się odezwać.

- Dzwonił John - mruknął.

- Do ciebie? - zirytowała się Dee.

John był pracownikiem WW i miał obowiązek kontaktowania się z kurierem. Z nikim innym, tylko z kurierem!

- Dostał już wszystkie eksponaty, więc poprosiłem, żeby zarezerwował nam miejsca na jutrzejszy lot.

- Ty go poprosiłeś...

Dee omal nie zakrztusiła się kawą, ale Luke jakby tego nie zauważył. Zignorował fakt, że w ogóle się odezwała.

- Proponuję, żebyśmy prosto stąd pojechali do hotelu. Weźmiemy nasze rzeczy i z bagażami udamy się do banku, a potem już prosto na lotnisko. Dzięki temu nie będziemy dwa razy przewozić klejnotów przez miasto. To o połowę zmniejszy wszelkie ryzyko.

Dee myślała teraz tylko o tym, że jej godność, jej zawodowa duma jest w znacznie większym niebezpieczeństwie niż klejnoty maharadzów.

John nie zadzwonił do niej, tylko do Luke'a, jakby taka właśnie była procedura! Z całej siły zacisnęła palce na nic nie winnej filiżance z kawą.

- Tak bym chciała obejrzeć waszą wystawę - powiedziała Gita. - Mam nadzieję, że zorganizujecie ją gdzieś na trasie wykładów Manoję.

Postanowiłem pokazać ją w Ransom Court - oznajmił Luke. A ponieważ podczas pobytu w Anglii

będziecie mieszkać u mnie, obejrzyjecie ją sobie w dowolnej chwili. Nawet kilka razy, jeśli wam się spodoba.

On postanowił, myślała coraz bardziej oburzona Dee. On, a nie Bill! Wydaje mu się, że ma prawo decydować o wszystkim i o wszystkich! Co on sobie wyobraża? Że nikt nie będzie śmiał mu się sprzeciwić?

Lukę nawet na nią nie spojrział. Przekazał tę wiadomość jak gdyby nigdy nic, poinformował jak o czymś dawno ustalonym. Co gorsza, nie dał jej możliwości powiedzenia tego, co już dawno sobie przygotowała, a nawet przećwiczyła przed lustrem. Po raz kolejny zniweczył jej plany!

Ani słowem nie wspomniał o tym, że mam pomagać przy organizowaniu wystawy, przypomniała sobie nagle. Czyżby zapomniał? A może po prostu doszedł do wniosku, że moja zgoda nie jest mu do niczego potrzebna? Wcale bym się nie zdziwiła. Po takim arogancie wszystkiego można się spodziewać.

- Jeśli chcesz, możesz wziąć mój minibus - zaproponował Manoj. - Kierowca przyprowadzi mi go z powrotem.

- Wielkie dzięki, ale nie będę potrzebował samochodu. Od razu zadzwoniłem po śmigłowiec. Przyleci jutro rano i zabierze nas do Delhi. W ten sposób dotrzemy tam znacznie szybciej niż samochodem. - Dopiero teraz raczył zauważyć obecność Dee. Nawet się do niej odezwał. - Pewnie nigdy przedtem nie latałaś śmigłowcem - zagadnął. - To znacznie mniej przyjemne niż lot samolotem.

W tej chwili Dee było dokładnie wszystko jedno. Mogłaby nawet podróżować na słońcu. Była wściekła, że Lukę bez porozumienia z nią uzgodnił wszystko, co dotyczyło powrotu do Londynu. Dosłownie gotowała się ze złości. W końcu to ona była kurierem, do jej obowiązków należało zadbać o bezpieczeństwo przesyłki i jej terminowe dostarczenie do centrali. Tymczasem ten facet zachowywał się tak, jakby Dee była jego

pracownikiem i wobec tego musiała wykonywać wszystkie jego polecenia.

Ale chyba najbardziej ze wszystkiego złościło ją to, że John Smith, przedstawiciel WW w Delhi, ośmielił się pominąć legalnego kuriera. Rozmawiał z Lukiem Ransomem, jakby to on, a nie Bill, był jego szefem i wypłacał mu wcale niemałą pensję.

- Szkoda, że nie możecie zostać dłużej - westchnęła Gita. - Mieliśmy nadzieję, że pobędziecie z nami jeszcze kilka dni.

Szkoda? Dee tak mocno ścisnęła filiżankę, że palce jej zbiały. Jedyne, czego żałowała, to tego, że dała się namówić na przyjazd w te przeklęte góry. Gdyby nie to, nie musiałaby znosić towarzystwa pana Ransoma! Dobrze chociaż, że dzieci oraz ich rodzice okazali się tacy sympatyczni.

Piękne miejsce i przemili ludzie tak ją oczarowali, że jak idiotka pozwoliła sobie na odpoczynek, zapomniała o zagrożeniu. Poczuli się bezpiecznie, przestała uważać i uwierzyła, że zdoła znieść towarzystwo rudego tyrana, że tutaj nic jej z jego strony nie grozi.

Zbyt pośpiesznie łyknęła kawy i dlatego się zachłysnęła. Siedzący obok niej Lukę klepnął ją w plecy.

- Musiałeś mnie tak mocno uderzyć? - warknęła, ledwie tylko złapała oddech.

- Przepraszam - powiedział, choć uśmiech na jego twarzy mówił coś zupełnie innego. Wcale nie było mu przykro.

Dee spojrzała na niego ze złością. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, już leżałby martwy u jej stóp.

Należało mu się za wszystkie upokorzenia, jakie musiała znosić z jego powodu.

Lukc przymrużył oczy. Wiedział, że Dee jest wściekła, i domyślił się, dlaczego. Była tego absolutnie pewna, ale tym razem się ucieszyła.

Bill tak bardzo cenił sobie jej pracę, że nawet on nie dawał Dee szczegółowych instrukcji. Mówił tylko, co ma zrobić, a sposób wykonania zadania pozostawiał do jej uznania. Tym bardziej Lukę nie miał prawa dysponować nią w dowolny sposób.

Już miała mu to powiedzieć, kiedy odezwał się Manoj.

- Chciałbym, żebyś na zawsze zapamiętała sobie ten ostatni dzień w naszych górach, Dee - oświadczył. - Czy jest coś, co najbardziej miałabyś ochotę robić po południu?

Było mnóstwo rzeczy, które Dee chciałaby robić po południu, jednak żadna z nich nie sprawiłaby jej przyjemności, gdyby Lukę był gdzieś w pobliżu. Jeśli naprawdę mogłaby decydować, kazałaby mu się wynieść w najdalszy zakątek kuli ziemskiej.

- Dee wybierze się ze mną na konną przejażdżkę - oznajmił człowiek, którego za wszelką cenę pragnęłaby się pozbyć.

Nieemożliwe, pomyślała zrozpaczona. On nie może mi tak po prostu czegoś nakazywać. Nie pozwolę tak się traktować! Zaraz mu powiem, że nie umiem jeździć konno, że boję się koni i za nic na świecie do żadnego z nich nie podejść. Zresztą powiem mu cokolwiek. I na pewno nigdzie z nim nie pojedę. Od tamtego wieczoru, kiedy odwiózł ją do hotelu i pocałował na pożegnanie, ani przez chwilę nie była z nim sam na sam. Perspektywa pozostania tylko z Lukiem potwornie ją przeraziła.

Jak powinna się zachować, gdyby znów chciał ją pocałować? Konie w żadnym wypadku nie nadają się do roli przyzwoitki.

Dee z największym trudem zachowała spokój. Jeśli jej odmowa miała odnieść pożądany skutek, musiała zabrzmieć godnie i bardzo stanowczo.

- Ja... - zaczęła.

- A ponieważ dzieci poszły do kolegi - wpadł jej w słowo

Lukę - Gita i Manoj będą mieli całe popołudnie wyłącznie dla siebie. Może to ostatnia taka okazja przed ich wyjazdem do Anglii.

- Nie wiedziałam, że jeździsz konno, Dee - zdziwiła się Gita

- Owszem, jeżdżę - przyznała niechętnie Dee. - Nawet często, ale dotąd nigdy nie robiłam tego za granicą.

- Wobec tego będziesz miała okazję spróbować - roześmiał się Manoj.

Oboje byli tacy sympatyczni, tak mocno przekonani, że Dee doskonale się bawi. Tymczasem omal się nie rozplakała. Popęłniła fatalny błąd, więc musiała ponieść konsekwencje. Nie należało zwlekać z odpowiedzią ani sekundy. Przecież mogła się domyślić, że ten rudy diabeł znów coś wykombinuje, nie pozwoli jej samodzielnie podjąć żadnej decyzji.

Nigdy nie pomijał żadnej okazji, która pozwalała mu zmusić Dee do posłuszeństwa, do podporządkowania się jego woli. Dusił w zarodku wszelkie jej protesty tak samo łatwo, jak łatwo zdobywał punkty w grze z dziećmi. Tyle że w tej grze, a raczej w walce na śmierć i życie, stawką była wolność, niezależność, a może nawet kariera zawodowa Dee.

Lukę wypożyczył z pobliskiego klubu dwa dobrze ułożone do gry w polo koniki.

- Skąd wiedziałeś, że umiem jeździć konno? - zapytała Dee, gdy willa Gity i Manoja zniknęła im z oczu.

- To nie było trudne do odgadnięcia.

Czy cokolwiek było trudne albo niemożliwe dla tego człowieka?

Dee pognęła swojego konika przodem. Wspinali się na niewielkie wzniesienie i nie chciała pozwolić, żeby Lukę prowadził. Przynajmniej ten jeden raz sama chciała o czymś zdecydować.

- Kiedy karmiliśmy kucyki, zachowywałaś się tak, jakbyś całe życie spędziła przy koniach - mówił Luke. Nie przeszkadzało mu widocznie, że zwraca się do jej pleców. - No i konie też tak cię traktowały, jak nie potraktowałyby nikogo, kto nie potrafi się z nimi obchodzić.

Dee zacisnęła usta.

Muszę się bardzo pilnować, kiedy on jest w pobliżu, pomyślała. Wszystko zauważa, a potem wykorzystuje tę wiedzę przeciwko mnie.

Z daleka dobiegł ją odgłos końskich kopyt. Zaciekawiona podniosła głowę.

- Niedaleko stąd jest boisko do gry w polo - wyjaśnił Luke. - Ta droga, którą teraz jedziemy, prowadzi po jego obrzeżach. Jeśli chcesz, możemy tam podjechać i popatrzeć przez chwilę, jak grają.

- Jak sobie życzysz - odparła, siląc się na obojętność. Nie chciała, żeby Luke się domyślił, jak bardzo jej zależy na

towarzystwie innych ludzi. Dużo by dała za to, żeby nie zostawać z nim sam na sam. To było o wiele bardziej wyczerpujące niż oglądanie meczu polo.

Koń, na którym jechała, wyczuł, że Dee jest zdenerwowana, i sam także zaczął się niepokoić. Musiała się skoncentrować, żeby opanować spłoszone zwierzę, nie pozwolić mu się ponieść. Za nic w świecie nie chciała się znowu zbłąźnić.

- Namawiano mnie, żebym urządził boisko do polo w Ransom Court - odezwał się Luke.

- Ty grasz w polo? - zapytała, uradowana, że znalazł się wreszcie jakiś neutralny temat.

- Rzadko. Nie mam zbyt wiele wolnego czasu. Przeważnie jestem poza domem.
- Tak jak w tej chwili. Dlaczego nie powiedziałeś, że zaproponowałeś Billowi pokazanie wystawy w Ransom Court? - zadała pytanie, zanim zdążyła ugryźć się w język. - Dlaczego chcesz mieć ją u siebie?

Luke tak patrzył, jakby chciał ją przeświecić na wylot. Tym razem jednak Dee się zacięła.

Postanowiła, że nie ułatwi mu zadania i na niego nie spojrzy.

Czuła, że się rumieni, że bliskość Luke'a wprawiają w zakłopotanie.

Konik Dee skorzystał z jej nieuwagi i podszedł bardzo blisko swojego towarzysza. W pewnym momencie tak się do niego zbliżył, że przygniótł nogę Dee do nogi Luke'a. Dee natychmiast ściągnęła wodze.

Odległość między końmi się powiększyła, ale Dee już zdążyła poczuć twarde mięśnie ocierające się o jej łydkę. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, zwłaszcza że błyszczące cętki w oczach Luke'a znów się zaświeciły.

A więc zauważył i właściwie zrozumiał jej zakłopotanie.

- Bill Williams nie dał mi wyboru - odparł Luke, choć od jej pytania minęło tyle czasu, że Dee już straciła nadzieję na otrzymanie odpowiedzi.
- Nie rozumiem. Przecież twierdził, że do niego zadzwoniłeś i sam złożyłeś mu propozycję. Przyznał, że to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.
- A powinien się spodziewać. Uznałem, że jeśli Bill Williams tak samo mało dba o bezpieczeństwo eksponatów, jak o bezpieczeństwo swoich kurierów, to sam muszę zadbać o dobro wystawy. Niektóre klejnoty należą do ludzi, których znam osobiście. Nie darowałbym sobie, gdyby coś im się stało.

Tylko dlatego postanowiłem włączyć się do przygotowań.

A więc nie chodzi mu o mnie, tylko o eksponaty i o znajomych, z którymi współpracuje, ucieszyła się Dee. Teraz wszystko rozumiem. Tylko dlaczego musi obrażać Billa?

- Bill bardzo dba i o kurierów, i o przesyłki, które przewożą

- ujęła się za swoim pracodawcą. - Wszyscy jesteśmy ubezpieczeni i bardzo dobrze przeszkoleni w zakresie samoobrony.

- Nie sądzę... - Luke taksująco patrzył na drobną figurkę Dee. - Moim zdaniem wyznaczenie takiej małej kobietki do eskortowania bezcennych klejnotów jest czymś znacznie gorszym niż zwykłe niedbalstwo. To szaleństwo.

Mała kobietka! Jak on śmie tak mnie obrażać, wściekała się Dee.

- Doskonale potrafię... - zaczęła.

- Dać się porwać, albo narazić na coś znacznie gorszego

- dokończył za nią Luke.

- Kurierzy mężczyźni są narażeni na takie samo ryzyko jak kobiety - złościła się Dee.

- Mężczyzna potrafi lepiej zadbać o siebie niż dziewczyna.

- Luke wcale się nie przejął jej wybuchem.

No, wreszcie powiedział coś mądrego, pomyślała Dee. Oni rzeczywiście potrafią dbać o siebie. A ten tutaj opanował tę sztukę do perfekcji.

- Bill Williams z początku chyba nie był zachwycony moim pomysłem - opowiadał Luke. -

Przynajmniej tak mi się zdawało. Może miał inne plany, ale mu uzmysłowiłem, że jeśli już zarezerwował salę wystawową, to musi tę rezerwację odwołać. Na szczęście się zgodził. Zresztą, prawdę mówiąc, nie miał innego wyjścia.

- Nie wątpię - prychnęła Dee.

Ona знаła powód, dla którego Bill nie od razu przyjął propozycję, ale nie miała zamiaru dzielić się z Luke'em swoją wiedzą. Niezależnie od tego, co on sobie wyobrażał, Bill dbał o swój personel. Gdyby nie to, bez wahania przyjąłby fantastyczną propozycję Luke'a. Każdy inny na jego miejscu na pewno by tak zrobił, ale Bill wolał się najpierw upewnić, czy aby na pewno nic się za tym nie kryje, czy Dee nic nie zagraża.

Była poirytowana, ale jednocześnie cieszyła się, że przynajmniej tym razem Luke Ransom się pomylił. Widać nie znał się na ludziach aż tak dobrze, jak mu się wydawało.

- Uważaj! - wrzasnął, ale było już za późno.

Dee nie zauważyła węża, który przemknął ścieżką tuż przed kopytami jej już i tak zdenerwowanego konia. Wąż zniknął w krzakach porastających brzegi dróżki, lecz wystraszony wierzchowiec nic o tym nie wiedział. Zarżał, wspiął się na tylne kopyta. Dee tylko cudem i ogromną siłą woli udało się utrzymać w siodle.

Luke wyciągnął rękę, chcąc chwycić za wodze, ale mu się nie udało.

Koń popędził naprzód, prosto w linię drzew okalających boisko do polo. Dee nawet nie próbowała zatrzymać zwierzęcia. Najpierw z całych sił chwyciła się końskiej szyi, potem ostrożnie uwolniła nogi ze strzemion. Bała się, że gałęzie drzew mogą ją zrzucić z siodła, więc niemal rozpląszyła się na końskim grzbiecie.

Zwisające luźno strzemiona obijały się o boki konika, niepotrzebnie straszyły i tak już przerażone stworzenie. Dee musiała się z tym pogodzić. Nie mogła ryzykować, że koń będzie ją ciągnął po ziemi, jeśli w końcu uda mu się zrzucić ją z siodła.

Zresztą bardzo się starał pozbyć jeźdźca z grzbietu. Biegł przed siebie jak oszalały i tylko co jakiś czas przystawał na ułamek sekundy. Wyłącznie na tylnych nogach.

Pęd powietrza szumiał Dee uszach, miarowy rytm końskich kopyt odbijał się w jej głowie zwielokrotnionym echem. Obawiała się, że tym razem nie zdoła uniknąć nieszczęścia.

Tętent stawał się coraz głośniejszy. Dee kątem oka zauważyła, że drugi koń jest tuż, tuż. Ten, którego dosiadał Luke.

Jeździec pędził ze zręcznością i odwagą Indianina, jakby się urodził w siodle. Wodze puścił luzem, mocnymi udami ścisnął koński grzbiet. Stanowił nieodłączną część zwierzęcia.

Kiedy konie zrównały się ze sobą, Luke pochylił się, wyciągnął obie ręce i mocno chwycił Dee w pasie.

Zadrżała, ale wcale nie ze strachu. Nawet w tak dramatycznym momencie myślała przede wszystkim o tym, jaki ten mężczyzna jest zgrabny, silny i jak bezpiecznie czuje się w jego ramionach.

Koń, na którym pędziła Dee, chciał uciec w bok, lecz Luke mu na to nie pozwolił. Obiema rękami trzymał Dee. Prowadząc swego konia samymi tylko nogami, zmusił go, żeby zmienił kierunek. Każdy inny koń w takiej sytuacji by się zbuntował, ale te zwierzęta były tresowane do gry w polo i przyzwyczajone do tego rodzaju manewrów. Dlatego - pewnie odruchowo - zgodziły się zmienić kierunek. Nie tylko ten koń, którego dosiadał Luke, ale także ten wystraszony, na którym jechała Dee. Oba biegły teraz obok siebie, z każdą chwilą coraz bardziej oddalając się od niebezpiecznych drzew. Wspinały się po zboczu, które z każdą chwilą stawało się coraz bardziej strome. O to właśnie Luke'owi chodziło. Bez użycia wodzy sprawił, że oba konie w naturalny sposób wytraciły szybkość.

Dee nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. No i oczywiście po raz pierwszy brała udział w takiej szalonej gonitwie. Nie знаła nikogo, kto potrafiłby jeździć konno tak jak Luke Ransom.

- Puść go - polecił. Jego słowa docierały do Dee jakby przez mgłę.

Palce same, bez świadomego udziału mózgu, puściły wodze. Dee poczuła, że coś unosi ją w górę, wysoko ponad siodło. Westchnęła.

Luke wyprostował się, posadził ją przed sobą i mocno przytulił. Dopiero teraz świat na dobre zawirował jej przed oczami.

- Niezły z ciebie jeździec, Ransom.

Dee obejrzała się za siebie. Tuż za nimi jechało kilku młodych mężczyzn z młotkami do gry w polo. Dosiadali takich samych koni, na jakich jechali Dee i Luke.

To pewnie jest ta drużyna, której nie zdążyłam zobaczyć, pomyślała trochę bez sensu.

- Usłyszeliśmy krzyk, więc przerwaliśmy grę - wytłumaczył jeden z graczy. - Musieliśmy sprawdzić, co się stało i czy nie potrzebujecie pomocy.

- Nie potrzebowali - stwierdził lakonicznie inny gracz. - Czy nic się pani nie stało?

Dee pokręciła głową. Na nic więcej nie było jej w tej chwili stać. Zupełnie nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Zresztą i tak nie mogłaby powiedzieć, że nic się nie stało, kiedy Luke wciąż ją do siebie przyciskał, tulił twarz do jej włosów, kiedy pożądała go aż do bólu.

Czuła gwałtowne łomotanie serca. W głowie jej się kręciło, otaczający ją ludzie zaczęli falować.

Gdyby teraz Luke postawił ją na ziemi, na pewno by upadła.

Drżała jak osika. W cichości ducha miała nadzieję, że Luke złoży jej stan na karb przeżytego strachu. Nie chciała przyznać, nawet przed sobą, że jej reakcję spowodowała nie dramatyczna sytuacja, lecz jak najbardziej prozaiczne pożądanie.

Gracze otaczali ją ciasnym kołem. Zawstydzona Dee poruszyła się niezdarnie, jakby chciała się uwolnić z objęć swego wybawcy.

- Nic mi nie jest - wykrztusiła słabym głosem. Dopiero to oświadczenie utwierdziło graczy w przekonaniu,

że ona naprawdę nie potrzebuje ich pomocy.

- To się nazywa charakter! - pochwalili. - Rzeczywiście widać, że nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo.

Naiwniacy, pomyślała Dee. Dopiero teraz jestem naprawdę zagrożona. I nawet wy nie możecie mi pomóc.

Miała ochotę krzyknąć, żeby nie zostawiali jej samej, że Luke Ransom jest stokroć groźniejszy niż najdzikszy koń. Musiała mocno zacisnąć usta, żeby te głupie słowa same się jej nie wyrwały z ust. Z dwojga złego wolałaby, żeby zgarnęły ją z siodła gałęzie drzew niż mocne ramiona Luke'a.

Połamane żebra to bułka z masłem w porównaniu ze złamanym sercem. Jedno doświadczenie w tej dziedzinie starczyło jej aż nadto. Nie miała ochoty go powtarzać, a przecież...

Przeraziła się. Co najmniej tak samo, jak przedtem przeraził się jej koń.

- Puść mnie! - zawołała.

Luke na pewno ją usłyszał, lecz ani myślał zastosować się do polecenia. Nie zamierzał nawet odpowiadać. Zresztą mogła się domyślić, co by powiedział, bo jeszcze mocniej ją do siebie przycisnął.

- Pani koń jest roztrzęsiony - odezwał się jeden z graczy. - Wracam do stajni, więc mogę i jego odprowadzić. Oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Dee miała coś przeciwko temu. Miała bardzo dużo przeciwko temu.

- Sama go odprowadzę - odparła, usiłując wyswobodzić się z uścisku Luke'a. - Mogę na nim pojechać.

- Na pani miejscu nie ryzykowałbym. Teraz byle co może go wystraszyć. Lepiej, żeby do jutra postał sobie spokojnie w swojej stajni.

A ja? wołała bezgłośnie Dee. Co będzie ze mną? Ja też muszę odpocząć i na pewno nikt nie powinien mnie teraz dotykać!

Ale zanim zdążyła się odezwać, Luke już wydawał dyspozycje.

- Bardzo będę wdzięczny, jeśli zechce pan odprowadzić tego konia - powiedział. - My pojedziemy powoli na moim koniu. Razem.

O, nie, mój panie, pomyślała z każdą chwilą coraz bardziej przytomna Dee. Nie będzie żadnego „razem”. Najlepiej natychmiast wybij to sobie z głowy. Postawiłam na samodzielność i nie zamierzam z niej rezygnować. Sama będę o sobie decydować i na pewno nigdy nie uzależnię się od żadnego mężczyzny.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dee bardzo się bała, że wszyscy dowiedzą się o tym, jaka z niej niezdara, że nawet z bardzo dobrze ułożonym koniem nie potrafi sobie poradzić.

A jednak Luke znów ją zaskoczył. Opowiedział Gicie i Manojowi całe zdarzenie, ale bez złośliwych uwag, czego Dee oczekiwała, tylko całkiem bezstronnie.

- Dee doskonale jeździ konno - pochwalił. - Gdyby nie to, cała ta przygoda mogła się naprawdę tragicznie skończyć.

Tego się po nim nie spodziewała. Świat się kończy! Luke Ransom chwali kobietę!

Właściwie miała ochotę głośno to powiedzieć, ale dała sobie spokój.

Uznała, że nie wypada mu dokuczać. Tak czy owak, jednak to on ją uratował. Gdyby nie skierował jej konia w inną stronę, na pewno zawisłaby na jakimś drzewie. Przy tej szybkości mogłoby się to skończyć tragicznie.

Dotąd mu nie podziękowała, bo, prawdę mówiąc, nie bardzo miała za co. W końcu to on wymyślił tę przekłętą przejażdżkę. Gdyby nie to, w ogóle nic by się nie zdarzyło i na pewno nie musiałby jej ratować.

Wszystko, co się tego popołudnia zdarzyło, stało się z winy Luke'a, także i to, że Dee została jego dłużniczką. Nigdy niko-

mu nie była nic winna, toteż zdecydowanie źle się czuła w tej nowej dla siebie roli.

Już od jakiegoś czasu zamierzała namówić Billa, żeby posłał do Ransom Court innego kuriera. Teraz, kiedy Luke uratował jej życie, a na pewno zdrowie, nie wypadało zrobić mu takiego świństwa.

- Jesteś kompletnie roztrzęsiona, Dee - stwierdził współczujący jak zwykle Manoj. - Zresztą nic dziwnego. Po takiej strasznej przygodzie... Powinnaś się dziś wcześniej położyć. Jutro czeka cię ciężki dzień.

Nie wiedział, jak bardzo ciężki miał być ten dzień. Ani Gita, ani Manoj nie zdawali sobie sprawy z tego, ile ją kosztowało nieustanne przebywanie w towarzystwie Luke'a.

Na moje szczęście jutro przez cały czas będziemy wśród ludzi, pomyślała.

Postanowiła skorzystać z podsunętej przez Manoj a wymówki i pójść wcześniej spać. Dzięki temu nie będzie musiała patrzeć na Luke'a ani słuchać jego złośliwości. Nie będzie musiała - przynajmniej tego dnia - korzystać z jego uprzejmości.

Ziewnęła na znak, że jest bardzo zmęczona i że należy jej się odpoczynek. W cichości ducha dobrze wiedziała, że o żadnym odpoczynku nie ma mowy. Nie mogłaby zasnąć, wiedząc, że Luke jest blisko. Po przygodzie z koniem, po tym, jak Luke mnie do siebie przytulił, na pewno nie zdołam zmrużyć oka, pomyślała. Szkoda, że nie jestem już dzieckiem. One zawsze zasypiają kamiennym snem, zanim jeszcze na dobre ułożą główki na poduszkach.

Po kolacji poszła razem z Gitą położyć chłopców do łóżek. Korzystała z każdej okazji, byleby tylko znaleźć się daleko od Luke'a.

- Fajnie było - mruknął młodszy z chłopców. - Bawiliśmy się z piaseczkiem. Szkoda, że nie słyszałaś, ciociu, jak on śmiesznie piszczał.

Chłopiec pisnął kilka razy, naśladując pieska, ziewnął i natychmiast zasnął.

- Dziś już nie będą marudzić. - Gita uśmiechnęła się, zamykając drzwi dziecięcej sypialni. - Potem jeszcze zajrzę do nich na wszelki wypadek, ale nie sędzę, żeby się poodkrywali. Są zbyt zmęczeni, żeby się poruszyć.

Wróciły na werandę. Dee nawet nie zauważyła, jak przegadali dwie godziny, choć Luke przez cały czas siedział obok niej. Gita i Manoj byli tak wyjątkowymi ludźmi, że w ich towarzystwie nawet on stawał się mniej groźny.

- Pójdę sprawdzić, czy chłopcy śpią spokojnie - powiedziała Gita.

- Weź mnie ze sobą - poprosił Luke, także podnosząc się z fotela. - Wiesz, jak lubię patrzeć na śpiące dzieci. Przywiozłem im z Kalkuty układanki. Położę je koło łóżeczek i rano malcy będą mieli niespodziankę.

- Rozpieszczasz ich - zauważył życzliwie Manoj. On także wstał, przynaglony ostrym dzwonkiem brzęczącego w holu telefonu. - Ja odbiorę, a wy sobie idźcie do chłopaków. Nie obrazisz się, jak cię na chwilę zostawimy samą, Dee?

- Na pewno nie. - Dee się do niego uśmiechnęła. - Odbierz ten nieszczęsny telefon, bo w końcu pobudzi dzieci.

Została sama. Było zupełnie cicho i dopiero teraz mogła się naprawdę odprężyć.

Miała nadzieję, że Lukę nie wróci wcześniej niż Gita lub Manoj. Jednak na wszelki wypadek przygotowała sobie plan ewakuacji. Postanowiła, że gdyby przyszedł sam, ona uda zmęczenie i pójdzie się położyć.

Zresztą wydarzenia dzisiejszego popołudnia naprawdę bardzo ją zmęczyły. Nie miała siły nawet ręką ruszyć.

Siedziała rozparta w trzcinowym fotelu i patrzyła na widniejące w oddali ośnieżone szczyty gór. Tu, w dolinie, było już prawie ciemno, ale góry wciąż jeszcze kapały się w blasku zachodzącego słońca. Śnieżne czapy z początku miały odcień pomarańczowy, potem krwistoczerwony, a wreszcie jasno-różowy.

Jak marcepan na torcie weselnym, pomyślała ni stąd, ni zowąd Dee.

Nagle w krzakach coś się poruszyło. Dee nastawiła uszu. Modliła się w duchu, żeby tylko nie musiała stawiać czoła jeszcze jednemu wężowi.

Usłyszała cichutki pisk, a potem poszczekiwanie. Po chwili pomiędzy krzakami mignął jakiś cień. W blasku palącej się na werandzie lampy dostrzegła chwiejącego się na grubych łapkach małego pieska. Śmignął przez trawnik i schował się w gęstym krzaku.

To tylko piesek, pomyślała uspokojona. Pewnie ten sam, o którym opowiadały dzieci. Bawiły się z nim i nie zauważyły, że podreptał za nimi do domu. Może zabłądził? Trzeba mu pomóc wrócić do domu.

Dee wstała z leżaka i zeszła do ogrodu. Na chwilę zapomniała o zmęczeniu.

- Chodź, pieseczku... - Wyciągnęła rękę do ukrywającego się w krzakach zwierzęcia. - Chodź do mnie.

Piesek chyba nie mógł się wyplątać z gęstych zarośli. Być może zaczepił obrózką o gałązkę.

Dee pochyliła się, żeby to sprawdzić, i wtedy poczuła, jak coś chwytają w pól, unosi w górę, odciąga od skomlącego zwierzaka.

Ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że zrobił to Luke.

- Oszalałeś? - Dee była na niego wściekła. - Natychmiast postaw mnie na ziemię.

Luke nie zwracał uwagi na jej wrzaski. Wciąż trzymając ją pod pachą, wbiegł na schodki werandy.

Dee zobaczyła jeszcze, jak piesek rzucił się do przodu, jakby chciał ukąsić Luke'a. Nie wiedziała, czy mu się udało, bo zaraz się cofnął, a potem przepadł w krzakach.

Luke postawił ją na rześście oświetlonej werandzie.

- Całkiem zwariowałaś? - Jej oczy rzucały gromy. - Co to za głupie dowcipy?

- Dotykałaś tego psa? - zapytał, jakby nie zauważył, że jest na niego wściekała.

- Nawet się do niego nie zbliżyłam. Wzięłaś mnie na plecy, jakbym była workiem kartofli.

- Całkiem ładnym workiem kartofli.

Dee wcale nie było do śmiechu. Miała za sobą ciężki dzień i jeszcze cięższy przed sobą. Nie chciało jej się żartować.

- Jak śmiesz mnie w ten sposób traktować! - wrzasnęła. - Jestem dorosła i mam prawo robić, co mi się podoba. Zwłaszcza spacerować po ogrodzie. Zachowujesz się, jakbyś był...

- Twoim aniołem stróżem - dokończył nie zrażony jej wybuchem Luke.

Raczej strażnikiem więziennym, pomyślała, ale nawet tego nie zdążyła mu powiedzieć.

- Najwyższy czas, żebyś poszła spać. - Lukę mówił takim tonem, jakby, rzeczywiście miał prawo jej rozkazywać. - Słyszałaś, co powiedział Manoj. Jutro musimy bardzo wczesnie wstać.

- Nie masz prawa mnie pouczać, co mam robić - zbuntowała się Dee. - Potrafię sama o siebie się zatroszczyć i nie potrzebuję niczyjej pomocy. A już na pewno nie twojej. Nie jesteś moją niańką.

- Jeśli zechcesz, to będę. Wystarczy jedno twoje słowo - powiedział cicho.

Uśmiechał się, ale tylko samymi ustami. Mimo ogarniającej ją wściekłości Dee zauważyła, że błyszczące cętki w jego oczach tym razem były pozbawione światła. Był spięty, jakby wystraszony, chociaż to ostatnie zupełnie do niego nie pasowało.

- No więc? - spytał, unosząc jej podbródek.

- Nie... Ja... Ty... - bąkała bez sensu.

On nie ma prawa zadawać mi takich głupich pytań i jeszcze domagać się odpowiedzi, wściekała się właściwie sama na siebie, a raczej na swoją bezradność.

Ten gniew przyszedł jej z pomocą. Opanowała się, zmusiła skołowaciały język do posłuszeństwa.

- Poszłam tam po tego psa - wyjaśniła spokojnie, ale stanowczo. - Widocznie przydreptał za dziećmi, a przez ciebie całkiem się zgubi.

Lukę wciąż na nią patrzył. Poczula, jak jego ręce otaczają ją ciasnym kołem, jak robi jej się coraz cieplej, jak otulają znajomy zapach.

Pomyślała, że zaraz zejdzie ze swej tak starannie obranej drogi i zgubi się tak samo jak ten piesek.

Musiała się bronić, musiała walczyć o swoją niezależność. Nie mogła pozwolić na to, żeby z jej mocnego postanowienia zostały same strzępy.

Na razie jednak nie mogła się nawet odezwać, a co dopiero ruszyć do walki.

- Właśnie w tej sprawie telefonowali. Manoj poszedł poszukać tego psa, więc możesz się już o niego nie martwić - powiedział Luke dziwnie oschłym tonem. - Masz teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Dee pomyślała, że pewnie właściciele pieska zauważyli jego zniknięcie i obdzwaniali wszystkich sąsiadów z prośbą o pomoc w poszukiwaniach ulubieńca. A skoro Manoj poszedł go szukać, to znaczy, że przez jakiś czas nie będzie go w domu. Może i Gita poszła razem z nim? Dee przestraszyła się. Nie tyle Luke'a, co samej siebie.

- A niby jakie? - zapytała, żeby zagłuszyć strach i natychmiast tego pożałowała, bo jej słowa rozpały złote cętki w oczach Luke'a.

- Zapomniałaś mi podziękować za to, że cię uratowałem - mruknął, tuląc ją do siebie.

Pochylił się nad nią, jego usta musnęły wargi Dee. Starła się odwrócić głowę, uniknąć pieszczoty, która wprawiała w drżenie całe jej ciało, ale nie wiedzieć czemu zrezygnowała. Zapomniała o piesku, o Manoju i o Gicie, zapomniała o całym świecie. Teraz była tylko ona, Luke i nikt więcej. I nic więcej się nie liczyło, tylko to słodkie ciepło, które rozchodziło się po wszystkich zakamarkach jej ciała.

- Chcesz, żebym cię zaniósł do łóżka? - zapytał Luke, kiedy przestał ją całować.

Musiała przytrzymać dłonią drżące usta, które tak bardzo

chciały powiedzieć „tak”, choć rozum podpowiadał, że za nic na świecie nie wolno tego słowa wypowiedzieć.

Lukę roześmiał się. Nie potrzebował słów, wystarczyła mu ta odpowiedź, którą wyczytał z oczu Dee. Ten śmiech ją obudził. Wyrwała się Luke'owi i jak szalona pobiegła na górę. Zamknęła drzwi swojego pokoju na klucz i oparła się o nie plecami. Dyszała ciężko, jakby dopiero co ukończyła bieg maratoński.

Wprawdzie drzwi były szczelnie zamknięte, ale i tak nie stanowiły przeszkody dla Luke'a, a raczej dla wspomnień o tym, co się stało tego dnia. Dee przewracała się z boku na bok, wspominając, jak jej dotykał, jak ją całował. Nie mogła sobie darować, że okazała się takim mięczakiem, że pozwoliła się całować mężczyźnie, że sama go całowała i - co najgorsze - wciąż nie miała dosyć.

A przecież musiała pozostać silna. Musiała, jeśli nie chciała, żeby ktoś znów złamał jej serce. Tym razem doszczętnie. Po prostu nie mogła sobie pozwolić na słabość, nie mogła dać się zepchnąć z raz obranej, jedynie słusznej drogi.

Prawie zasypiała, kiedy usłyszała strzał.

Pewnie ktoś urządza przyjęcie i puszczają sztuczne ognie, uznała. W tym baśniowym kraju przy lada okazji strzela się na wivat i wystrzeliwuje fajerwerki.

Z tą myślą wreszcie zasnęła.

Następnego ranka bała się wyjść z pokoju. Nie wiedziała, jak ma się zachować, nie miała pojęcia, jak zachowa się Lukę, i była całkowicie pewna, że jego pocałunki zostawiły na jej ustach ślady, które wszyscy bez trudu zauważą.

Ale nic się nie stało. Luke powitał ją zwyczajnie, nawet chłodno. Tak chłodno, że Dee zrobiło się nieprzyjemnie.

Kolejna lekcja, pomyślała sobie. Dla mężczyzn pocałunek zupełnie nic nie oznacza. Robią to, na co w danej chwili mają ochotę, i nigdy nie zastanawiają się nad konsekwencjami. A ja od razu Bóg wie co sobie wyobrażałam!

Śmigłowiec się spóźnił. Z powodu gęstej mgły nie było widać gór, nie było nawet widać ogrodu. Żaden pilot nie zdołałby w tych warunkach wylądować.

- Czy to znaczy, że dziś nie polecicie? - zaniepokoiła się Gita.

Dee się wystraszyła. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby spędzić choć jeden dodatkowy dzień w towarzystwie Luke'a. Musiała jak najprędzej zniknąć z tego domu w górach, zapomnieć o wakacjach i wrócić do pracy. Najlepiej, żeby to była ciężka, wyczerpująca i bardzo odpowiedzialna praca, taka, przy której nie da się myśleć o żadnych głupotach. A już na pewno nie o Luke'u Ransomie.

Wprawdzie w Anglii czekało ją jeszcze kilka dni w jego towarzystwie, lecz dni te miały być poświęcone pracy. Dee była pewna, że Luke'owi trudno będzie znaleźć okazję do spotkań w cztery oczy.

Zresztą wystawa też nie będzie trwać wiecznie. Dee pragnęła, żeby zaczęła się choćby dzisiaj. Dzięki temu wcześniej by się skończyła i Dee miałyby wreszcie ten paskudny okres za sobą. Mogłaby pomału zacząć zapominać o przebrzydłym tyranie z błyszczącymi cętkami w oczach, o wszystkim, co przez niego wycierpiała.

- Nie sądzę. - Luke rozwiął obawy Gity i wlał otuchę w serce Dee. - Mgła niedługo opadnie. Poza tym zarezerwowałem

miejsca na popołudniowy lot, więc mamy jeszcze sporo czasu. Powinniśmy spokojnie ze wszystkim zdążyć.

A więc tak to wymyślił, jęknęła w duchu Dee. Przez cały dzień będę tylko z nim. Chyba jednak lepiej, żeby ta mgła jeszcze trochę się utrzymała i opadła dopiero koło południa. Wtedy będzie mało czasu, trzeba się będzie spieszyć i może dzięki temu nie zwariuję do końca.

A przecież wszystko miało być takie proste. Miała trzymać się z dala od mężczyzn i dużo podróżować. Widziała przed sobą prostą drogę i jasną przyszłość. Wystarczył jeden rudy przystojniak, żeby musiała zweryfikować swoje życiowe plany.

Wczorajsze zachowanie Luke'a zamazało jasną przyszłość i poplątało prostą drogę. Dee bardzo się bała, że teraz już nic nie będzie wyglądało tak samo jak przedtem, że nic nie będzie ani proste, ani jasne, ani tym bardziej zwyczajne. Ale najbardziej się bała, że nie zdoła zapomnieć przedziwnych oczu ze świetlistymi cętkami.

- Czy twoi rodzice zdążą wrócić przed zakończeniem wystawy? - zapytał Luke'a Manoj. - Bardzo dawno ich nie widziałem.

- Obawiam się, że tym razem nie będzie to możliwe - odparł Luke. - Odkąd tata przeszedł na emeryturę, bez przerwy podróżują. Postanowili na stare lata zwiedzić cały świat. Ale wiosną na pewno zawitają do kraju.

- Wtedy się spotkamy. Będę miał następną serię wykładów.

- A ja się stęskniłam za Mari - westchnęła Gita. - Pozdrów ją, proszę, ode mnie.

- Nie zapomnę - zapewnił Luke, a jego twarz rozjaśniła się ciepłym uśmiechem.

Mgła wreszcie opadła i można było lecieć do Delhi. Przez cały ranek, a także potem, podczas podróży śmigłowcem, Dee nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tajemniczej Mari. Kim była dla Luke'a? Na pewno kimś ważnym, skoro tak się uśmiechał na jej wspomnienie.

Nic mnie to nie obchodzi, pouczała się co chwila, lecz pytanie powracało, choć ze wszystkich sił starała się nie myśleć o tajemniczej kobiecie.

Kiedy wylądowali, okazało się, że przez tych kilka dni w Delhi znacznie się ochłodziło, choć w porównaniu z górskim klimatem wciąż jeszcze było gorąco.

- Tu nie ma czym oddychać - narzekała Dee.

- Jeszcze tylko kilka godzin - pocieszył ją Luke. - Wytrzymasz.

Duchotę i upał panujące w mieście mogła wytrzymać bez trudu, gorzej było z towarzystwem Luke'a.

Na szczęście John Smith towarzyszył im od chwili, gdy śmigłowiec usiadł na lotnisku w Delhi. John czekał na nich z klimatyzowanym samochodem, a więc ani upał, ani Luke nie mogli tym razem dać jej się we znaki.

Najpierw pojechali do hotelu, w którym mieszkała Dee. Zabrali stamtąd resztę jej bagażu, pojechali po bagaże Luke'a, a potem we trójkę zjedli lunch. W tej samej hotelowej restauracji, w której tak niedawno wesoło spędzali czas z Gitą i Ma-nojem.

Tym razem jednak Dee była tak zdenerwowana, że nie dostrzegała piękna sali. Jadła wykwintne dania i zupełnie nie czuła ich smaku.

Czekała na moment, kiedy znajdzie się w samolocie wiozącym ją do Londynu.

Jedli posiłek w spokoju, z namaszczeniem, tak jak na to zasługiwało egzotyczne otoczenie. Właściwie ze sobą nie rozmawiali. Wszyscy troje zastanawiali się, co ich jeszcze dzisiaj czeka, lecz niebezpiecznie było mówić o tym w restauracji pełnej ludzi. Woleli nie kusić losu.

Dotąd Dee skutecznie odsuwała od siebie wszystkie myśli o tym, co ją czeka po powrocie do Anglii, to jest o przygotowaniach do wystawy w Ransom Court, w których miała uczestniczyć. Lecz teraz, kiedy perspektywa powrotu zbliżała się nieuchronnie, nie dało się tego dłużej ignorować.

Miała nadzieję, że Bill da jej kilka wolnych dni. Bardzo potrzebowała odpoczynku. Oczywiście wyłącznie ze względu na Luke'a.

Musiała przestać go widywać, musiała się uspokoić, wziąć w garść i wrócić na wytyczony szlak życiowy, zanim znów spotka się z nim w Ransom Court.

Nadal nie wiedziała, kiedy Bill zamierza dokonać otwarcia wystawy i jak długo miała ona potrwać. Ostatni raz rozmawiała z nim jeszcze w Delhi. Kazał jej wtedy odpocząć, niczym się nie przejmować i nawet nie meldować się w firmie, dopóki nie wróci do Londynu. Wszystkie informacje dotyczące jej powrotu miał mu przesłać faksem John.

Jego polecenia były dość niezwykłe i daleko odbiegały od normalnej procedury stosowanej w firmie Billa, gdy następowały nieprzewidziane komplikacje.

Dee pomyślała filozoficznie, że to pewnie obecność Luke'a Ransoma sprawia, że wszystko staje się inne niż zwykle. Pocieszała się nawet, że widocznie on na innych tak dziwnie działa. A jeśli nawet Billa zdołał zaczarować, to jakąż ona miała szansę mu się oprzeć?

Właściwie mogła zapytać o to wszystko, co ją interesowało, ale się krępowała. Lukę'a nie chciała pytać z przyczyn osobistych. Johna też nie bardzo mogła wypytywać, bo by się okazało, że ona, zaufany kurier WW, o niczym nie wie, że została całkowicie ubezwłasnowolniona. Jej duma zawodowa z pewnością nie zniosłaby takiego upokorzenia.

- Możemy już iść? - zapytał John.

W jego tonie słychać było lekkie zniecierpliwienie. Zapewne powtarzał to pytanie kolejny raz, jednak Dee nie wiedziała, który. Tak bardzo pochłonięły ją własne rozmyślenia.

- Tak, oczywiście - mruknęła, zrywając się z miejsca.

Prosto z restauracji pojechali do banku, w którym przechowywano eksponaty na wystawę. Tym razem strażnik postawił przed nimi aż trzy szkatułki. Dwie, które Dee już знаła, i trzecią z eksponatami, na które tak długo czekali. Ta nowa biżuteria nie była wprawdzie antyczna, lecz ani urodą, ani ceną nie ustępowała klejnotom maharadzów.

Dee patrzyła z zachwytem na wyłożone przed nimi lśniące drobiazgi. Pierścionki, klipsy, naszyjniki i bransolety tak piękne, że trudno było od nich oczy oderwać. Każda kobieta z radością nałożyłaby takie ozdoby, choć nie wszystkie mogły sobie na to pozwolić. Dee także należała do tej kategorii.

A przecież była uprzywilejowana. Mogła sobie przynajmniej popatrzeć.

Nigdy w życiu nie będzie mnie stać na taką piękną biżuterię, pomyślała rozżalona. Zresztą i tak nie miałabym jej kiedy nosić, pocieszyła się od razu.

Zauważyła, że Lukę bardzo długo przygląda się jednemu

z pierścionków. Była to kunsztowna złota koronka ozdobiona świetlistym brylantem, pochodząca z kolekcji maharadzów.

- Piękne dla pięknej - mruknął.

Pewnie chce go kupić Mari, pomyślała Dee.

Poczuła w sercu ostre ukłucie. Czyżby zazdrość? Nie, absolutnie niemożliwe! Od początku wiedziała, że nic dla niego nie znaczy, że jest tylko zabawką, o której zapomni, kiedy tylko zniknie mu z oczu.

- Czy masz specjalną torbę do przewożenia biżuterii? - zapytał Johna Luke.

I znowu nie ją, tylko Johna. Tym razem jednak Dee się nie obraziła, bo przypadkiem zapytał właściwego człowieka. Przygotowanie przesyłki do podróży należało do obowiązków przedstawiciela firmy w kraju, z którego pochodziła.

Dee dopiero teraz skojarzyła, że po raz pierwszy, odkąd pracuje u Billa, będzie przewozić rzeczy tak małe, że trzeba je mieć przy sobie. Dotąd konwojowała wyłącznie duże paczki, które jeździły w lukach bagażowych samolotu albo w ciężarówkach. Ale nigdy żadnej cennej przesyłki nie miała w ręku.

Tym razem wszystkie przedmioty, jakie miała przewieźć do Londynu, z powodzeniem zmieściłyby się w dwóch sporych kieszeniach. Po raz pierwszy była bezpośrednio narażona na atak złodzieja i po raz pierwszy w ogóle o tym pomyślała.

Nawet się wystraszyła, ale prędko przypomniała sobie, że przecież nikt nie ma pojęcia o tym, co ona przewozi, toteż na pewno nikt jej nie napadnie i w ogóle nic złego się nie stanie.

- Mam teczkę - powiedział John. - Oczywiście ze wszystkimi zabezpieczeniami.

Dee wiedziała, co to oznacza. Teczka miała wmontowany alarm dźwiękowy i świecę dymną, które włączają się przy gwał-

townym szarpnięciu łańcucha. Dee musiała ją sobie przypiąć do , ręki kajdankami. Na kursie samoobrony robiła to wiele razy, lecz po raz pierwszy miała z czymś takim podróżować naprawdę. Z obawą spojrzała na teczkę, którą podał Luke'owi John. - To nie jest dobry pomysł - skrzywił się Luke. - Będzie bezpieczniej, jeśli zrobimy to po mojemu.

Wyciągnął z kieszeni skórzany pas i rozłożył go na stole. Powoli, z jubilerską dokładnością, wkładał poszczególne eksponaty, każdy w osobną kieszonkę pasa. Opasał się skórzaną taśmą, starannie zapiął klamry pasa i opuścił luźną koszulę. Nikt by się nie domyślił, że przewozi na sobie taki cenny ładunek. Dopiero teraz Dee zrozumiała, dlaczego nie włożył garnituru. Rano nawet trochę się zdziwiła, że zamierza lecieć do Londynu w takim niedbałym stroju, lecz przypuszczała, że przebierze się w Delhi. Wreszcie dowiedziała się, dlaczego się nie przebrał i dlaczego pojawi się w Londynie ubrany tak, jakby dopiero co skończył grać w piłkę z dwoma małymi chłopcami.

Zapewne od samego początku miał zamiar przewieźć kosztowności na sobie, a mimo to ani słowem jej o tym nie wspomniał. Nawet do głowy mu nie przyszło, że powinien się w tej sprawie skonsultować z kurierem.

Zwykle, gdy klient zapewniał Dee eskortę, ochroniarz zawsze pozostawiał do jej decyzji sposób pakowania i przewożenia przesyłki. Zawsze ona była szefem, a ochrona musiała wykonywać jej polecenia.

Tym razem było inaczej. Pewnie dlatego, że ochrona była niezwykła. Jej rudy anioł stróż sam podejmował decyzje, z góry zakładając, że Dee musi się zgodzić na wszystko, co on jej zaproponuje.

Dlatego bez porozumienia z nią ubrał się jak na mecz krykieta, dlatego - nie pytając jej o zdanie - przyniósł ze sobą ten pas.

- To ja powinnam przewozić eksponaty, a nie ty - sprzeciwiła się mimo wszystko. - Ja jestem ubezpieczona i mnie płacą za tę robotę. W naszej teczce klejnotom na pewno nic się nie stanie.

Przymocuję ją sobie do ręki.

- Zeby zawiadomić wszystkich, których to obchodzi, że wracamy do domu z ładunkiem - zauważył Luke.

Bardzo chciała zaprotestować, ale zabrakło jej argumentów, ponieważ Luke najzwyczajniej w świecie miał rację. Osoba podróżująca z walizeczką przypiętą kajdankami do ręki była łatwym celem dla międzynarodowych gangsterów, którzy nie cofnęliby się przed niczym, byleby tylko zdobyć choć połowę tego, co miała przewieźć z Delhi do Londynu.

- Możesz włożyć te pierścionki - powiedział Luke. Dopiero teraz zauważyła, że na stole zostały jeszcze cztery

sztuki biżuterii. Tak bardzo się przejęła tym, że Luke zupełnie się z nią nie liczy, że pewnie byłaby o nich zapomniała. Jeden z pierścionków był tym, który szczególnie zainteresował Luke'a, a i Dee bardzo się spodobał.

- Włożyć? - zdumiała się Dee. - Kpisz czy o drogę pytasz? Tyle mi nagadałeś, jak to Bill nie dba o przesyłki, a teraz każesz mi wkładać bezcenne pierścionki na rękę? Ty chyba naprawdę zwariowałeś! Chcesz, żebym je wystawiała na widok publiczny?

- Odwrócisz je w taki sposób, żeby kamienie znalazły się wewnątrz dłoni. Jeśli zaciśniesz pięść, będzie widać tylko złote obrączki. Zresztą będę cię trzymał za rękę, więc i tego nikt nie zobaczy. -

Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. - Masz

taką małą piąstkę, że nawet z pierścionkami bez trudu zmieści się w mojej dłoni.

A więc to było aż takie proste! Proste, choć Dee drżała na samą myśl o takiej perspektywie. Nie mogła się na to zgodzić. Musiała mu powiedzieć, że nic z tego nie będzie, że ona przewiezie klejnoty w teczce. Zgodnie z instrukcją, dokładnie tak, jak uczono na kursach.

- Nikt nie zwróci uwagi na kobietę i mężczyznę, którzy trzymają się za ręce. - Luke, jak zwykle, uniemożliwił jej jakikolwiek protest. - Zwłaszcza jeśli są ubrani tak, jakby wracali z wakacji.

Zobaczysz, że nie wzbudzimy niczyjzego zainteresowania.

- Ekstra - mruknęła Dee.

Wcale jej się nie podobało, że Luke chce udawać jej narzeczonego. Taki układ był dla niej absolutnie nie do przyjęcia. Nawet na niby.

Chociaż, z drugiej strony, musiała przyznać, że Luke miał absolutną rację. W dzisiejszych czasach ludzie naprawdę nie zwracają uwagi na zakochane pary wracające z wakacji. A przecież właśnie o to chodzi, żeby być jak najmniej widocznym, żeby nikomu nie rzucać się w oczy.

Zaproponowana przez Luke'a mistyfikacja gwarantowała klejnotom pełne bezpieczeństwo, a bezpieczeństwo przesyłki dla każdego kuriera jest sprawą najważniejszą.

Dee postanowiła zachować się jak zawodowiec. Musiała zastosować najskuteczniejsze w danych okolicznościach zabezpieczenie. Dla dobra sprawy mogła przez kilka godzin udawać narzeczoną przystojnego młodego człowieka z rudą czupryną.

- A jeśli na lotnisku trafią się jacyś dziennikarze i pomyślą

sobie, co nie trzeba, to tym gorzej dla nich. - Lukę wzruszył ramionami.

Dziennikarze, przeraziła się Dee. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Lukę Ransom jest osobą publiczną, więc nic dziwnego, że prasa się nim interesuje.

Nie chciała, żeby ktokolwiek widział ją z Lukiem, żeby prasę obiegły zdjęcia ich obojga trzymających się za ręce. Tym bardziej że naprawdę nic ich nie łączyło.

Musiła się odwołać do swojej zawodowej solidności, przekonać samą siebie, że warto zaryzykować nawet zdjęcie w gazecie, byleby się zachować jak godny zaufania, dbający o bezpieczeństwo przesyłek kurier najlepszej firmy przewozowej świata.

Udało jej się. Tym bardziej że ryzyko sfotografowania przez jakiegoś fotoreportera było naprawdę minimalne. Lukę nigdy dotąd nie pozwalał na robienie żadnych zdjęć, nigdy najdrobniejsza nawet informacja o jego życiu prywatnym nie przedostała się do prasy. Więc dlaczego tym razem miałyby się stać inaczej?

Dee wzięła ze stołu pierwszy z brzegu pierścionek. Ręce tak jej drżały, że pierścionek potoczył się na podłogę.

Lukę schylił się i podniósł go ostrożnie.

- Ja to zrobię - zaproponował. - Chyba że się boisz. Jeśli tak, to powiedz. Sam je włożę.

Panicznie się bała, ale nie złodziei. Bała się błyszczących cętek w oczach Luke'a, bała się dotyku jego dłoni. Bała się, że oszaleje.

- Nie boję się - zapewniła, choć tylko ona wiedziała, ile ją to kosztowało.

Lukę skinął głową, jakby się ucieszył. Może wreszcie docenił jej profesjonalizm.

Delikatnie ujął jej dłoń. Nakładał pierścionki powoli, z namysłem, jeden po drugim, jakby Dee naprawdę była jego narzeczoną, jakby chciał sprawdzić, który najbardziej jej się spodoba i najlepiej do niej pasuje.

Myślała zrozpaczona, jak bardzo nie nadaje się do roli manekina.

Nie chciała mierzyć pierścionka przeznaczonego dla Mari.

Niestety, teraz nie mogła się już wycofać. Musiała razem z Lukiem podziwiać klejnoty na swej wyciągniętej dłoni.

I wtedy na chwilę przestała myśleć. Pierścionki były jeszcze piękniejsze niż przedtem. Jakby ożyły, gdy tylko znalazły się na jej palcach. Ozdobne kamienie rozjarzyły się cudownym blaskiem, rzucając tęczowe cienie na ściany bankowego sejf.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

John zawiózł ich na lotnisko. Siedzieli na tylnym siedzeniu samochodu, Luke przez całą drogę trzymał dłoń Dee w swojej dłoni. Rzeczywiście wyglądali na zakochaną parę, choć teraz, w samochodzie, z dala od ciekawskich spojrzeń obcych ludzi, z całą pewnością można się było bez tego obejść.

- Nie musisz trzymać mnie za rękę w samochodzie - zaprotestowała Dee. - Tutaj i tak nikt nie zobaczy klejnotów.

- Jednak wolę cię trzymać. Przynajmniej jestem pewien, że nic złego ci się nie stanie.

Najpierw pomyślała, że to miłe z jego strony, iż się o nią troszczy. Zaraz jednak przypomniała sobie, że przecież nie o nią Luke'owi chodzi, tylko o klejnoty, które miała na palcach.

- Drzwi samochodu są zablokowane - mruknęła.

- Jeśli rzeczywiście jesteś tak dobrze przeszkolona, jak mi to wmawiałaś, to powinnaś wiedzieć, że dla zdecydowanego na wszystko bandyty nie ma dobrego zamka.

Zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Tym razem też coś takiego wymyślił, że Dee musiała zamilknąć. Zdenerwowana, demonstracyjnie odwróciła głowę do okna.

Zmierzchało. Miasto było udekorowane girlandami różnokolorowych kwiatów, na balkonach, przed sklepami, a nawet przed straganami ulicznych sprzedawców paliły się małe oliwne lampki.

Dee wzdrygnęła się, usłyszawszy strzał. Potem drugi, trzeci... Nie, to na pewno nie był napad. Strzelano gdzieś daleko, a po każdym takim strzale z nieba sypały się kolorowe iskry. Fajerwerki, przypomniała sobie. Przecież wczoraj też strzelali. Widocznie znów mają jakieś święto. Samochód Johna jechał wąską uliczką. Z przeciwka zbliżała się jakaś procesja, a może tylko świąteczny korowód. Raczej jedno i drugie, pomyślała Dee. W Indiach każde święto łączy się z procesją, a każda procesja to radosne święto. Świętujący ludzie znajdowali się tuż przed samochodem. Jeden z nich prowadził na grubym łańcuchu słonia przystrojonego girlandami barwnych kwiatów. Musieli zwolnić, żeby przepuścić procesję. Dee przestraszyła się, widząc, jak kornak mocno ścisną łańcuch słonia, jak potężne zwierzę zbliża się do auta. Zdawało jej się, że słoń zaraz zastąpi im drogę, łańcuch rozbije szybę, a ukryci w tłumie pielgrzymów rabusie odbiorą bezcenne klejnoty. Przenikliwe dźwięki piszczałek i łomot bębnowy zagłuszyłyby skutecznie wszelkie wołanie o pomoc. Zresztą i tak nie miały im kto pomagać. W pobliżu nie było widać ani jednego policjanta. Dee odruchowo cofnęła się od szyby i przytuliła do Luke'a. Poczuła, jak jego dłoń zaciska się na jej dłoni. A więc on też coś podejrzewał! Prowadzący wesoły korowód słoń minął samochód. Nic się nie stało. Oprócz tego, że mokra ze strachu Dee tuliła się do Luke'a jak przerażona mała dziewczynka. Gdy wreszcie ochłonęła, gdy otrząsnęła się z wrażenia, okropnie się rozłościła. Najpierw na Luke'a. Odkąd weszli do banku, bez przerwy ją

straszył, wciąż przypominał o zagrożeniu, o bandytach i rabunkach. A kiedy złąka się słonia, tak się zachował, jakby i on wietrzył niebezpieczeństwo, jakby rzeczywiście mieli się czego obawiać. Na pewno doskonale wiedział, że nic się nie stanie, że to tylko jeszcze jedno hinduskie święto, a nie żadna szajka złodziei klejnotów.

Przewożenie cennych przesyłek nie było spokojnym zajęciem, ale przewożenie ich na sobie wymagało stalowych nerwów. Tymczasem Luke, który miał ją chronić, zamiast uspokajać, tylko ją denerwował.

Potem zezłościła się na siebie. Była dorosła, samodzielna i dobrze wykształcona, a jednak pozwoliła się zastraszyć. Co gorsza, pokazała Luke'owi, jak bardzo się boi.

Specjalnie to zrobił, pomyślała oburzona. Wymyślił jeszcze jeden sposób na to, żeby mi pokazać, jaki jest potężny i jaką ma nade mną władzę. Ależ mu sprawiłam radość!

- To święto Diwali - wyjaśnił Luke. Dopiero teraz, jakby nie mógł tego zrobić wcześniej. - Ludzie palą światła dla Lakszmi, bogini obfitości. Wszyscy chcą sobie zapewnić szczęście i pomyślność.

- To ulubione święto dzieci - dodał milczący dotąd John. - Tego dnia dostają mnóstwo słodczy.

Rozmawiałem z celnikami - dodał. - I tutaj, i w Londynie przekroczycie granicę przejściem dla VIP-ów. Dzięki temu znacznie zmniejszymy ryzyko.

- Znam ich? - zapytał Luke.

- Znasz. - John skinął głową. - 1 tego w Delhi, i tamtego w Londynie.

A więc znów załatwili coś poza jej plecami. Coś bardzo

ważnego, dotyczącego bezpośrednio przesyłki będącej pod opieką Dee.

Kontrola celna ich niezwyklego bagażu odbyła się w osobnym pokoju, a potem urzędnik osobiście odprowadził ich aż na pokład samolotu. Był świadom ryzyka i nie chciał żadnych, nawet całkiem przypadkowych incydentów.

Wszyscy pasażerowie siedzieli już na swoich miejscach.

- Na tych z pieniędzmi zawsze trzeba czekać - powiedział jakiś mężczyzna do swego sąsiada.

- Tym razem chyba nie chodzi o pieniądze - roześmiał się ten drugi. - Chyba że kradzione. Niech pan zobaczy, jak ten facet trzyma ją za rękę. Tak mocno, jakby się bał, że może mu uciec. To pewnie jakaś międzynarodowa złodziejka. Dopadli ją w Indiach i eskortują do kraju.

- Popatrz pan, co za czasy - westchnął ten, który zaczął rozmowę. - Nawet wśród przestępców jest coraz więcej kobiet.

Policzki Dee płonęły. Nie dlatego, żeby uwagi obu panów osobiście ją dotknęły.

Niczego nikomu nie ukradła, nie była przestępcą, ale istotnie czuła się więźniem. Więźniem despotycznego, bardzo przystojnego mężczyzny.

Dłoń Luke'a trzymała ją w żelaznym uścisku. Nawet gdyby bardzo się starała, nie zdołałaby mu się wyrwać.

Puścił ją dopiero wtedy, kiedy samolot szybował w powietrzu. I choć przedtem tak strasznie ją złościł, choć modliła się w duchu, żeby ją wreszcie uwolnił, teraz poczuła dojmujący żal. Poczowała się opuszczona, tak samo jak tamtego dnia w Delhi. Opuszczona, choć Luke siedział tuż obok niej. Co z tego, jeśli nie trzymał jej za rękę.

Gdy wylądowali na Heathrow, na pokładzie zjawił się angielski urzędnik celny, który wyprowadził Luke'a i Dee z samolotu.

Dwaj starsi panowie znów patrzyli na nią z naganą, znów coś między sobą szeptali.

Tym razem jednak Dee się nimi nie przejmowała. Cieszyła się, że wreszcie jest w Londynie, że zaraz znajdzie się w biurze Billa i jej mordęga nareszcie się skończy.

Przed salonikiem dla VIP-ów natknęli się na dwóch reporterów, czekających na ważną osobistość, której samolot spóźniał się już o całą godzinę.

- Dawno pana nie widziałem, panie Ransom! - zawołał jeden z nich.

- Byłem za granicą! - odkrzyknął Luke.

Widocznie znał tych ludzi, a w każdym razie traktował ich tak samo uprzejmie jak wszystkich dookoła. Jednak kiedy mężczyźni podeszli do nich, Dee poczuła, że mocniej ścisła jej dłoń. Tę, na której przewoziła bardzo cenny ładunek.

- W interesach, czy dla przyjemności? - zapytał jeden z reporterów, ani na chwilę nie spuszczać oka z Dee.

- I jedno, i drugie - odparł radośnie.

- Musiałeś im to mówić? - syknęła poirytowana Dee. Specjalnie tak powiedział, żeby reporterzy Bóg wie co sobie

pomyśleli. Widocznie chciał zademonstrować swoją zażyłość z Dee. No bo gdyby nie to, po co wygadywałby takie głupstwa?

Jedyną pociechę znajdowała w tym, że reporterzy nie znali jej nazwiska i że nikt nigdy nie zobaczy jej twarzy. Luke nie pozwalał się fotografować, więc właściwie mogła być spokojna. Naprawdę, niewielkie były szanse, żeby ktokolwiek z jej rodziny, nawet przeczytawszy artykuł, domyślił się, że to właśnie

o nią chodzi, że to właśnie ją potężny Luke Ransom tak czule trzymał za rękę.

Biedna Mari, pomyślała Dee. Jej niepotrzebna ani fotografia, ani nazwisko. Będzie cierpieć, kiedy się dowie, że jej ukochany z kim innym podróżuje dla przyjemności. A on nawet o tym nie pomyślał.

Może nawet całkiem o niej zapomniał? Tacy oni są, ci przekłęci mężczyźni. Co z oczu, to z serca.

- Niech się pan nad nami zlituje - jęczał reporter. - Chociaż ten jeden raz. Jeśli ta ważna figura wcale się nie pojawi, wrócimy do redakcji z pustymi rękami. Naczelny wyrzuci nas na zbity pysk.

- Niech będzie. Ale to wyjątek.

Dee własnym uszom nie wierzyła. To było takie niesamowite, zupełnie do niego niepodobne.

Nieosiągalne!

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie.

Spojrzała na Luke'a i właśnie w tej chwili błysnął flesz.

To koniec, pomyślała zrozpaczona. Teraz już wszyscy się dowiedzą! Zaczną się domysły, wypytywania... Do końca życia nie opędzę się od idiotycznych uwag.

- Doskonały pomysł - pochwalił Bill, gdy jakąś godzinę później oboje z Lukiem zameldowali się w siedzibie firmy. - Tylko dziewczyna mogła wymyślić coś takiego, jak przewożenie pierścionków na własnych palcach.

- To nie ja wymyśliłam, tylko Luke - przyznała Dee. Bill spojrzał na nią nieco zdziwiony.

Od razu zrozumiała, jaką gafę strzeliła. Powinna mówić o nim „pan Ransom”. Nie musiała się wrywać z tym imieniem. Po co wszyscy od razu mają wiedzieć, że ona i Luke są dobrymi znajomymi?

Na szczęście to tylko Bill, pomyślała. Dobrze, że zamknął drzwi od gabinetu.

Postanowiła sobie, że kiedy Luke sobie pójdzie, opowie Billowi o tym, co naprawdę zaszło, dlaczego Luke trzymał ją za rękę. Stanowczo oświadczy szefowi, że absolutnie nic jej z tym wrednym facetem nie łączy.

Pośpiesznie zdjęła z palców drogocenne klejnoty i włożyła je do stojącego na stole pudełka.

- Reszta jest tutaj - oświadczył Luke

Odpiął skórzany pas, zdjął go z siebie, ale nie podał go Billowi, tylko wręczył Dee.

A więc jednak raczył zauważyć, że przewiezienie klejnotów należało do jej obowiązków i że to ona była za nie odpowiedzialna.

Bardzo prędko przestała się cieszyć. Nagrzany ciałem Luke'a pas parzył jej palce. Musiała natychmiast się go pozbyć!

Dosłownie rzuciła pas w wyciągnięte ręce Billa. Zdziwił się, ale taktownie nic nie powiedział.

Ostrożnie, jeden po drugim, wypakował pozostałe eksponaty, starannie ułożył je w wyściełanych ciemnym aksamitem pudełkach. Pudełka umieścił w kasetkach, zamknął je i schował w sejfie.

Dopiero potem oddał pas właścicielowi.

- Tutaj będą bezpieczne - powiedział. - Zwłaszcza że nie poleżą dłużej niż dobę.

Dee odetchnęła z ulgą. Doba to niewiele, ale dobrze, że przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny będzie mogła nie patrzeć na Luke'a. Potrzebowała choćby tego krótkiego czasu, potrzebowała chwili samotności. Musiała wziąć się w garść, co w jego obecności było prawie niemożliwe.

Ale przede wszystkim musiała zniszczyć w domu wszystkie

egzemplarze gazety, w której pojawi się jej zdjęcie u boku Luke'a Ransoma. Nie mogła dopuścić do tego, żeby dostały się w ręce kogoś z członków jej rodziny.

Nie była aż tak naiwna. Wiedziała, że prędzej czy później, taką czy inną metodą znajomi i rodzina i tak o wszystkim się dowiedzą. Wolała, żeby stało się to jak najpóźniej. Zanim plotki i inne egzemplarze gazety do nich dotrą, Dee będzie już daleko i żadna plotka nie będzie w stanie jej dotknąć, urazić ani zdenerwować.

A kiedy wróci, sprawa przycichnie i wkrótce cały świat - a raczej mały świat Dee - o niej zapomni. To, co się stanie z Mari, właściwie wcale jej nie obchodziło. Nie ponosiła odpowiedzialności za to, co wyprawiał ten władczy mężczyzna, choć było jej przykro, że mimo woli sprawi przykrość innej kobiecie.

- Dwadzieścia cztery godziny zupełnie mi wystarczą - stwierdziła uradowana. - Przepakuję się, wezmę samochód i przyjadę do firmy.

- Betty przywiezie ci wszystko, co jest ci niezbędne - obiecał Bill.

- Samochód nie jest ci potrzebny - powiedział Luke. Mówili jednocześnie. Dee dopiero teraz się zorientowała, że

od samego początku zachowują się tak, jakby od lat się przyjaźnili, jakby coś przed nią ukrywali, może nawet uknuli przeciwko niej spisek.

A przecież Luke tak paskudnie mówił o Billu, kiedy byli w Indiach. Pogardliwie wyrażał się o firmie, wątpił w fachowość kurierów i skuteczność ochrony. Teraz zachowywał się zupełnie inaczej, jakby razem z Billem zjedli beczkę soli. Bill zresztą też.

- Muszę mieć auto - upierała się Dee. - Jak się dostanę z domu do Ransom Court i z powrotem?
- Nigdzie nie będziesz jeździć - oświadczył Luke tym swoim nie znośnym sprzeciwu tonem. - Na czas trwania wystawy zamieszkaś w zamku. Wszystko zostało uzgodnione.
- Uzgodnione? Dlaczego nie ze mną? Dee nie posiadała się z oburzenia. Miała ochotę zrobić karczemną awanturę i pewnie nic by ją przed tym nie powstrzymało, gdyby w gabinecie Billa nie pojawiła się jego sekretarka.
- Wołałeś mnie, czy mi się zdawało? - zapytała Betty.
- Nie zdawało ci się. Wejdz i zamknij za sobą drzwi. - Bill zaprosił ją do środka. - Dee potrzebuje z domu trochę ubrań. Czy mogłabyś zrobić to co zawsze?
- Jasne. - Betty doskonale wiedziała, na czym polega jej zadanie. Nie raz i nie dwa oddawała takie przysługi będącym w ciągłym pośpiechu kurierom.
- Ale ja... - próbowała się wtrącić Dee.
- Powiedz, co mam ci przywieźć. - Betty nie pozwoliła jej dojść do głosu. - Jeśli od razu pojedę, to kierowca podrzuci ci walizkę zaraz po tym, jak sama dotrzesz na miejsce.
- Chodźmy do sekretariatu. - Dee zrezygnowała z oporu. Nie mogła jednak zrezygnować z siebie, nie mogła pozwolić na to, żeby znajomi wytykali ją palcami, a rodzina na śmierć zamęczyła bezpodstawnymi podejrzeniami. Jednak nie chciała załatwiać swoich spraw w obecności Luke'a. Nawet obecność Billa ją krępowała, tym bardziej że obaj najwyraźniej byli w zмовie.
- Wzięła Betty pod ramię i wyprowadziła ją z gabinetu.
- Napiszę ci na kartce, co masz mi zapakować - mówiła, dosłownie wypychając koleżankę za drzwi.

Musiała choć przez chwilę pobyć sama. Po tym koszmarnym dniu i jeszcze gorszej podróży, po spotkaniu z reporterami na lotnisku, pragnęła choć przez moment nie patrzeć na Luke'a. Zwłaszcza że nawet te krótkie dwadzieścia cztery godziny, na które tak bardzo liczyła, zostały jej odebrane. Co tu się dzieje, myślała przerażona. Czy Bill naprawdę nic nie rozumie? Jak mógł mi coś takiego zrobić?

- Dziwnie wyglądasz - zauważyła Betty, gdy znalazły się w sekretariacie.

- Mam prawo - syknęła Dee, starannie zamykając za sobą drzwi gabinetu Billa. - Teraz wreszcie wiem, jak się czuje człowiek, który ma ochotę kogoś zamordować.

- Daj spokój! - Betty się roześmiała. - Lepiej zacznij już pisać tę swoją listę.

Dee zaczęła podejrzewać, że Betty także należy do spisku. Niestety, miała tylko ją i tylko ją mogła dopuścić do tajemnicy.

- Lista jest nieważna. - Machnęła ręką. - W każdym razie nie tak bardzo. Jest coś ważniejszego, co koniecznie musisz mi załatwić. Jak tylko przyjedziesz do mnie do domu, zaraz skontaktuj się z Mary. To nasza gosposia. Cudowna kobieta. Zawsze mogę na nią liczyć. Poproś ją, żeby przejrzała wszystkie gazety, jakie są dostarczane do domu, zanim wpadną w ręce mojej rodzinki. Ubłagaj ją, żeby schowała te, w których będzie moje zdjęcie.

- Czy ty poważnie myślisz... - zaczęła Betty.

- To oczywiście niczego nie zmieni - Dee nie pozwoliła jej dokończyć zdania - ale przynajmniej opóźni egzekucję. I tak mam dość kłopotów z całą tą wystawą. Nie dam rady przygotowywać wystawy i jednocześnie opędzać się od ciekawskiej rodzinki.

- Niech ci będzie, chociaż naprawdę nie wiem, po co robisz tyle zamieszania. - Betty wzruszyła ramionami. - Twoja mama będzie uszczęśliwiona, kiedy cię zobaczy u boku sławnego i bogatego kolekcjonera dzieł sztuki.

- Jeśli nawet, to tylko ona - mruknęła ponuro Dee.

- Dziwna z ciebie dziewczyna. Każda inna na twoim miejscu skakałaby z radości, gdyby jej zrobiono zdjęcie z Lukiem Ransomem. Jest nie tylko bogaty, ale diabelnie przystojny i do tego młody. Takiej mieszanki nie spotyka się codziennie.

- Ja nie jestem każda inna - obruszyła się Dee. - Wiesz, że nie chcę z nikim się wiązać. Postanowiłam zostać sama, więc nic sobie przypadkiem nie kombinuj.

- Sama i samotna - skrzywiła się Betty. - Czy ty masz pojęcie, jakie to smutne? Ale rób, jak uważasz. To w końcu twoje życie.

Dee nie posiadała się ze zdziwienia. Betty całkiem niedawno przeżyła straszny zawód miłosny, nie minął nawet rok, jak się rozwiodła. Dlaczego mówiła o samotności tak, jakby to był dopust boży? Powinna chyba wiedzieć, jacy wredni są mężczyźni, jak bardzo nie można na nich polegać, jak wiele ryzykuje dziewczyna, która jest na tyle nieostrożna, żeby oddać serce jednemu z tych potworów. No cóż, niektórzy ludzie nie uczą się nawet na własnych błędach, pomyślała.

Zajęła się sporządzaniem listy.

Ten dzień rzeczywiście był bardzo długi. W Indiach była już ciemna noc, lecz w Anglii dopiero się ściemniało.

Lukę zdecydowanie prowadził samochód przez wciąż jeszcze zatłoczone ulice Londynu. Kiedy wyjechali na szosę, Dee

po raz pierwszy tego dnia naprawdę się odprężyła. Nie dlatego, że się starała. Cicha, równomierna praca silnika, płynne ruchy świetnie resorowanego jaguara ukołysły ją, niemal ukołysały do snu.

- Byłaś już kiedyś w Chiltern Hills? - zapytał Luke, kiedy zjechali z szosy na boczną wiejską drogę.

- Tylko raz. Przejazdem - odparła Dee. - O ile dobrze pamiętam, rośnie tu mnóstwo buków, z których robi się krzesła.

Już nie chciała go zamordować, był jej prawie zupełnie obojętny i to ją uradowało. Ucieszyła się, że wreszcie przestał ją dręczyć, że wybrał sobie neutralny temat rozmowy. Przynajmniej wieczór zapowiada się spokojnie, pomyślała.

- Dobrze pamiętasz - pochwalił ją Luke. - Szkoda, że teraz niewiele widać. Zawsze jest tu pięknie, ale jesienią nie można się wprost napatrzeć na kolory.

Niespodziewanie zatrzymał samochód.

Dee znów się zdenerwowała. Nie miała ochoty podziwiać kolorowych liści buków w towarzystwie Luke'a. Zwłaszcza że zmierzchało i naprawdę niewiele można było o tej porze zobaczyć.

- Ransom Court - oznajmił. Popatrzyła przed siebie i mowę jej odebrało.

Ze wzgórza, na którym się zatrzymali, widać było rozległą dolinę. Stał w niej niewielki zamek, a raczej bardzo duży dom otoczony gęstym bukowym lasem.

Dee domyślała się tylko, że to musi być las, bo z tej odległości nie było widać drzew, tylko obręcz z bajecznie kolorowej gęstej mgły. Między zamkiem a ścianą jesiennych kolorów lśniła srebrna wstążka wody. Dee nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ogląda zamek śpiącej królowej.

Było zupełnie cicho. Tylko świerszcze grały jak szalone przed udaniem się na spoczynek. Zupełnie jak w bajce.

- Nie rozumiem, jak ty możesz tyle czasu spędzać poza domem - szepnęła. - Ja nigdy bym nie zostawiła czegoś tak pięknego.

Lukę przyglądał się jej uważnie, jakby nad czymś się zastanawiał, coś sobie rozważał.

- Mogę wyjeżdżać, bo wiem, że gdy wrócę, on zawsze będzie na mnie czekał - odparł poważnie.

A więc ten wredny despota, ten niestrudzony podróżnik ma jednak jakieś ludzkie uczucia, pomyślała zaskoczona. Nawet on potrzebuje bazy, spokojnego domu, do którego mógłby wracać. Może także do kogoś? Mari, przypomniała sobie.

Nie chciała myśleć o Mari. W ogóle nie chciała myśleć.

- Kiedy go wybudowano? - zapytała, chcąc spłoszyć niechciane myśli, które znów, nie wiedzieć skąd, do niej przyfrunęły.

Zdecydowanie wolala rozmawiać o zamku, o jego architekturze i w ogóle sztuce. Tak było bezpieczniej.

- W czasach Tudorów, ale niektóre fragmenty fundamentów są jeszcze starsze. Mieliliśmy szczęście, że wojna wcale mu nie zaszkodziła. - Lukę skrzywił się. - Moi przodkowie przewróciliby się w grobie, gdyby ktoś ośmielił się użyć nowoczesnych materiałów do naprawy murów.

Mówił tak zwyczajnie o pokoleniach ludzi, którzy mieszkali przed nim w tym domu. Przez całe wieki rodzili się tutaj, żenili, umierali...

Jakoś tym razem jej wolny duch się nie buntował. Wprawdzie marzyła o poznawaniu świata, uwielbiała być w ciągłym ruchu, ale teraz pomyślała sobie, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby choć na chwilę zaznać spokoju. Nawet gdyby trzeba było ograniczyć swój świat murami jednego domu.

Magia miejsca, pomyślała. Takie zamki jak Ransom Court każdego potrafią odmienić.

- Moi rodzice mieszkają w rodzinnym domu mamy - powiedział Luke, choć Dee o nic go nie pytała. - Kiedy tata przeszedł na emeryturę, uznali, że zamek jest dla nich za duży. Przejąłem zamek, bo prowadzę rozległe interesy i potrzebuję przestrzeni, a to idealne miejsce. Zresztą ja po prostu lubię tu być.

Zdziwiło ją, że aż tak się przed nią odsłonił. Właściwie nie było to nic szczególnego, ale nie dla człowieka pilnującego swej prywatności jak oka w głowie. Widocznie Ransom Court także i na niego miał magiczny wpływ.

Dee, jakby na przekór sobie, zapragnęła dowiedzieć się o Luke[^] jeszcze więcej. Nawet się ucieszyła, że spędzi kilka dni pod dachem jego domu. Na pewno znajdzie się okazja do rozmowy w cztery oczy. Co to za głupie pomysły, zbesztala się natychmiast. W Indiach robiłam co w ludzkiej mocy, żeby tylko nie zostać z nim sam na sam, a teraz zaczynam o tym marzyć. Muszę bardzo uważać, żeby magia Ransom Court nie pomieszała mi w głowie.

- W dzisiejszych czasach nie spotyka się już prawdziwej fosy. - Dee wróciła do bezpiecznego tematu.

- Właściciele zamków osuszają je i zasypują.

- Dla mnie ta fosa jest dodatkowym zabezpieczeniem. Nawet najbardziej zdeterminowany złodziej chwilę się zastanowi, zanim zdecyduje się zamoczyć sobie nogi. Jedyne drogi do zamku prowadzi przez zwodzony most.

Fosa była szeroka. Wprost z głębokiej ciemnej wody wynu-

rzał się mur z litego kamienia. Naprzeciwko zwodzonego mostu stały dwa metalowe słupy. Luke zatrzymał samochód, podszedł do jednego ze słupów, otworzył szafkę kryjącą panel kontrolny i wystukał jemu tylko znany kod.

A więc fosa fosą, ale najnowsza elektronika też znalazła u niego miejsce, pomyślała ubawiona nagle Dee.

Ogromny most powoli się opuścił. Nie chrząścił ani nie zgrzytał, jak Dee się spodziewała. Widocznie przodkowie Luke'a jednak akceptowali niektóre nowoczesne technologie.

Most zamknął się automatycznie, kiedy przejechali po nim i znaleźli się na dziedzińcu zamkowym. Luke pomógł Dee wysiąść z auta, szarmancko podał jej ramię, wprowadził do olbrzymiego holu. W wielkim kamiennym kominku płonął ogień.

Przez hol pędziła kobieta w średnim wieku.

- Jak to dobrze, że pan wrócił! - Wyciągnęła ręce do Luke'a.

- Ja też się cieszę, że wreszcie jestem w domu, Kate. Luke objął kobietę, wycałował ją serdecznie.

- Przedstawiam ci Kate - zwrócił się do Dee. - Była moją piastunką, ale odkąd dorosłem, zajmuje się prowadzeniem domu. Czy włączyłaś ogrzewanie? - zapytał gospodynię. - W Indiach było gorąco. Nie chciałbym, żeby Dee nam się przeziębiła.

Powiedział to zwyczajnie, nawet serdecznie i Dee niemal uwierzyła, że naprawdę mu na niej zależy. A przecież była to tylko zwykła kurtuazja, jeśli nie zwykła wymówka. To on zmarłby w zamku po indyjskich upałach, tylko nie chciał się do tego przyznać.

Dee nie była pewna, czy rzeczywiście ma rację, ale wołała

się pomylić, niż rozczulać nad troskliwością Luke'a i Bóg wie co sobie wyobrazić.

- We wszystkich sypialniach jest ciepło jak w uchu - zapewniła go Kate. - Teraz zaprowadzę panią do jej pokoju - zwróciła się do Dee. - Za pół godziny podam kolację, więc będzie pani mogła chwilę odpocząć po podróży.

Biedna Kate nie miała pojęcia, że podróże wcale Dee nie męczyły. Lubiła podróżować, ale nie lubiła towarzystwa Luke'a. Jego obecność męczyła ją bardziej niż najdłuższa wyprawa dookoła świata.

- Nie zdążyłam nawet wpaść do domu po czyste rzeczy. - Dee uznała, że powinna jakoś wytłumaczyć Kate, dlaczego nie ma ze sobą żadnego bagażu. I wtedy przypomniała sobie, że most jest zamknięty i kierowca WW w żaden sposób nie zdoła dostarczyć jej walizki. - Furgonetka z firmy miała mi przywieźć świeże ubrania, ale nie wiem, jak się tu dostanie. Most jest przecież podniesiony.

- Proszę się nie obawiać - uspokoiła ją Kate. - Kiedy kierowca przyjedzie, to zadzwoni do bramy, a my mu otworzymy. Cóż w tym nadzwyczajnego.

- Mówi pani tak, jakby chodziło o zwykły dom pod miastem, a nie o zamek.

- Bo to naprawdę niewielka różnica. - Kate wzruszyła ramionami. - Zamek to także dom, tylko trochę większy. Zamieszka pani w tym pokoju. - Kate otworzyła jedne z wielu drzwi na piętrze. - Proszę się rozgościć, a ja tymczasem sprawdzę, czy kolacja już gotowa.

Zaciągnęła zasłony, zakręciła się po pokoju, jakby sprawdzała, czy aby na pewno wszystko wygląda tak, jak powinno. Już miała wyjść, ale zawróciła.

- Byłabym zapomniała - powiedziała. - W jednej z szaf zostało trochę rzeczy. Mam nadzieję, że się pani o to nie pogniewa. Musiałam je zostawić tutaj, ponieważ podczas wystawy pozostałe sypialnie będą zajęte przez panów i pary małżeńskie. Słyszałam, że jest pani kobietą niezależną, więc...

- Nic nie będzie mi przeszkadzać - przerwała jej Dee. Marzyła o samotności, o tym, żeby wreszcie nikt się kolo niej nie kręcił. Nawet taka miła starsza pani jak Kate.

Dee zdjęła płaszcz, jedyną rzecz, jaką w tej chwili mogła powiesić w olbrzymiej szafie. Otworzyła tę szafę i oniemiała. Wisiała tam nocna koszulka z czarnej, cudownie lekkiej koronki i podobna do niej biała, i jeszcze dwie z tęczowego jedwabiu oraz delikatnych jak pajęczyna koronek.

Nic dziwnego, że gospodyni nie chciała zostawiać tego w męskich pokojach, pomyślała Dee.

Ciekawe, do kogo te cuda należą? Kobieta, która nosi taką bieliznę, musi bardzo kochać życie. Na pewno nie jest samodzielna i nigdy nie bywa samotna.

Przypomniała sobie ciepły uśmiech, który rozjaśnił twarz Luke'a, gdy wypowiadał tamto imię.

Mari.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

A gdzie reszta, pomyślała Dee, gdy zeszła na kolację i zobaczyła, że na wielkim stole są tylko dwa nakrycia. Gdzie te pary małżeńskie i gdzie ci mężczyźni, o których wspomniała Kate?

Pewnie byłąby uciekła, wymówiła się bólem głowy, ale nie zdążyła. Stojący dotąd na balkonie Luke wyszedł jej na spotkanie.

- Nie będzie ci chłodno? - zapytał. - Jeśli tak, to zamknę okno.

- Zamknij - poprosiła.

Wcale nie było jej zimno, ale wydanie polecenia sprawiło jej niewysłowioną przyjemność. Wreszcie ona była górą. Rozkazała i Luke bez szemrania spełnił jej życzenie. Zupełnie inaczej niż w Indiach.

- Sądziłam, że będzie nas więcej. - Spojrzała wymownie na stół z dwoma nakryciami. - Kate wspominała...

- Wystawcy zaczną się zjeżdżać dopiero jutro. Jeden dzień zupełnie im wystarczy na zorganizowanie stoisk.

Nie rozumiała, dlaczego wobec tego ściągnął ją do Ransom Court już dzisiaj, dlaczego pozbawił ją wytchnienia, którego tak bardzo potrzebowała, skoro wiedział, że nie muszą się spieszyć.

A może jednak uda jej się coś wymyślić? Coś tak strasznie ważnego, że Luke będzie musiał ją stąd wypuścić. Wyjechałaby

z kierowcą firmy, który przywiezie jej *rzeczy*. Wróciłaby jutro, kiedy zamek będzie pełen ludzi i rosgardiaszu, jaki zawsze towarzyszy przygotowaniom do wystawy.

To był naprawdę bardzo dobry plan. Nie musiałyby spędzać wieczoru z Lukiem, który jako pan tego zamku zdawał jej się jeszcze potężniejszy, bardziej władczy aniżeli przez cały czas ich znajomości.

Mimo że bez szemrania zamknął okno, kiedy go o to poprosiła.

Choć bardzo się starała, nic nie zdołała wymyślić. W każdym razie nic takiego, co by miało sens i nie ośmieszyło jej w oczach Luke'a i jego gospodyni.

Dee była tak stremowana, że nie mogła przełknąć ani kęsa, choć ostatnim posiłkiem, jaki tego dnia spożyła, był lunch w przerobionym na hotel zamku w Delhi.

- Zupełnie nic pani nie je - dogadywała dobrodusznie usługująca im przy stole Kate. - Nawet ptaszek by się nie pożywił tym, co pani sobie nakłada na talerz. A przecież cały dzień spędziła pani w podróży.

- Właśnie dlatego nie mogę jeść. - Dee bez wahania skorzystała z tej prostej wymówki. - Jestem bardzo zmęczona. Obiecuję, że od jutra się poprawię.

Miała cichą nadzieję, że ten wykręt pomoże jej pozbyć się Luke'a natychmiast po zakończeniu posiłku. Nikt nie powinien jej mieć za złe, że po wyczerpującej podróży zechce się wcześniej położyć.

Tym bardziej że nazajutrz czekał ją kolejny pracowity dzień.

Jednak w miarę upływu czasu ogarniał ją coraz większy spokój. Niespodziewanie dla siebie, zupełnie nie wiadomo kiedy przestała się bać Luke'a. Nie zaprotestowała, kiedy po kolacji kazał Kate przynieść szal i zaproponował Dee, żeby razem

z nim wyszła na balkon. Nie zaprotestowała nawet wtedy, kiedy Lukę otulił ją szalem.

Była bardzo ciekawa, jakie to uczucie stać na balkonie starego zanku i patrzeć na lśniącą w blasku księżyca fosę oddzielającą ten zamek od reszty świata.

Lukę stanął obok niej, ale jej nie dotykał. To także było nowe w ich dotychczasowej znajomości.

- Czy wiesz, że w naszej fosie zdomowiły się łabędzie? - zapytał cicho. - Mieszkają tu od wielu lat. Niektóre z ich młodych zakładają gniazda na dużym stawie w parku, ale ich rodzice wolą mieszkać w fosie.

Dziki i wolny, a jednak z własnego wyboru mieszkają wciąż w tym samym miejscu, pomyślała Dee. Razem.

- Są tu już tak długo, że właściwie nie wyobrażamy sobie fosy bez łabędzi - mówił Luke. - Zawsze razem, chociaż nie są przykute łańcuchem. Ani do tej wody, ani do siebie nawzajem.

Mają skrzydła i wolną wolę, a jednak mieszkają tutaj. Nie ciągnie ich ani do zwiedzania świata, ani do poznawania innych łabędzi. Przecież mogłyby odlecieć.

To dobre dla łabędzi, nie dla ludzi. Dee stanowczo przeciwstawiła się własnej słabości.

Może nie tylko, pomyślała po chwili skruszona. Luke mówił, że też zawsze tu wraca. Czyżby siła przyzwyczajenia? Może pamięć przodków nie pozwala mu opuścić zamku? A może po prostu lubi tu być, tutaj właśnie wracać z podróży, by nabierać sił przed kolejną wyprawą w nieprzyjazny świat? To naprawdę bardzo piękne i niezwykle miejsce.

- W której części zamku odbędzie się wystawa? - zapytała. Wolą nie myśleć o trudnych sprawach, nie osłabiać bez

potrzeby swojego mocnego niegdyś postanowienia. Za wszelką

cenę chciała wrócić do rzeczywistości, do pracy, która była jedynym powodem jej przybycia do Ransom Court. No, może nie jedynym, ale Dee wolała wierzyć, że przyjechała tu wyłącznie w tym celu.

W każdym razie na pewno nie musiała rozmawiać z Lukiem o łabędziach, stać z nim na balkonie. Postanowiła, że jeśli nie zechce z nią mówić o sprawach konkretnych, to ona pójdzie spać i zostawi go samego z mieszkańcami jego fosy.

- W sali balowej. - Lukę nie miał nic przeciwko zmianie tematu. - Zajmuje prawie całe skrzydło zamku. Zazwyczaj jest przedzielona parawanami na trzy osobne pomieszczenia, ale w każdej chwili można je odsunąć i wtedy tworzy się jedna wielka sala.

- A jak tam z zabezpieczeniem? - zapytała tonem fachowca. Nie mogła sobie darować tej drobnej złośliwości. Lukę przez cały czas pobytu w Indiach oskarżał Billa o niedbalstwo, o nieodpowiednie zabezpieczanie przesyłek. Teraz Dee postanowiła trochę się odegrać na Luke'u. W każdym razie spróbować.

- Więcej niż wystarczające - odparł rzeczowo. - Przede wszystkim będzie ochrona z waszej firmy. Poza tym każdy wystawca zatrudnia swojego ochroniarza. Oczywiście wszyscy oni zamieszkają w zamku i będą pilnować konkretnych stoisk. Klejnoty, które przywieźliśmy z Indii, oddałem pod opiekę jednej z międzynarodowych firm jubilerskich. Nie muszę chyba dodawać, że ta firma nie po raz pierwszy uczestniczy w ekskluzywnej wystawie. Ja sam osobiście odpowiadam za zabezpieczenie zamku, który jest doskonale chroniony przez najnowocześniejszy system alarmowy, a na dodatek otoczony fosą. Z tego wynika, że będę miał dość czasu, żeby zająć się chłopcami. - Uśmiechnął się szeroko do Dee.

- Wobec tego nie rozumiem, po co mnie tu ściągnęłaś. Z tego, co mówisz, wynika, że zabezpieczenie jest rzeczywiście więcej niż wystarczające.

- Potrzebowałam kogoś, kto pomógłby mi zabawić gości. Nie w dosłownym sensie - szybko uprzedził jej ewentualne protesty. - Musisz mi pomóc utrzymać ład w tym towarzystwie. Bill Williams powiedział, że masz duże doświadczenie w kontaktach z przedstawicielami rozmaitych kultur.

- Tylko w środowisku studenckim.

- Studenci czy dorośli, co za różnica? Dobrze jest, kiedy na takiej imprezie znajdzie się osoba, która potrafi zapanować nad całością, zjednoczyć różnych ludzi i zapobiec ewentualnym problemom. Krótko mówiąc, chodziło mu o kogoś, kto pełniłby honory pani domu. Nie mógł poprosić o to żony, bo jej nie miał. Rodzice także nie mogli mu przyjść z pomocą, ponieważ opływali świat dookoła, a Manoj i Gita mieli dość własnych problemów na głowie. Zresztą większą część dnia zamierzali spędzać w Londynie i wracać do Ransom Court właściwie tylko na noclegi.

A więc jestem tu jedynie z konieczności, pomyślała rozzalona, choć właściwie powinna się cieszyć. No i dobrze. Przecież od początku tego właśnie chciała: być cenionym pracownikiem i nikim więcej. Od samego początku wiedziała, że nie wolno sobie niczego wyobrażać, na nic liczyć.

- Szejkiem nie musimy się zajmować. - Głos Luke'a wtargnął w jej niezbyt radosne myśli. - On zawsze ma własną obstawę.

- To chyba się nie opłaca - skrzywiła się Dee.

- Co się nie opłaca?

- Nie warto być aż tak fantastycznie bogatym. - Wzruszyła

ramionami. - Jak można czerpać radość z majątku, skoro dzień i noc trzeba mieć przy sobie obcego człowieka do obrony przed światem? Uważam, że to zbyt wygórowana cena. Bogactwo tego szejka musi mu być kulą u nogi. Nigdy w życiu nie poczuje smaku prawdziwej wolności.

- Czy wolność naprawdę tak wiele dla ciebie znaczy?

W głosie Luke'a była jakaś taka dziwna nuta, która bardzo Dee zaniepokoiła.

Powinna mieć się na baczności. Tym bardziej że miała konkretny powód, dla którego nie chciała się z nikim wiązać. Jej umiłowanie wolności także nie wzięło się z powietrza. Ani Luke, ani nikt inny na całym bożym świecie nie wiedział, dlaczego aż tak się zawzięła. Dee nie zamierzała tego wyjaśniać. Zaciśnęła usta. Nie chciała się nawet odezwać. Bała się, że gdyby cokolwiek powiedziała - obojętnie co - to ten obcy człowiek mógłby wszystko odgadnąć, poznać jej najskrytsze tajemnice.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, zanosilo się na coś w rodzaju rozmowy o sprawach osobistych. Takiej rozmowy, po której ludzie zazwyczaj czegoś się o sobie nawzajem dowiadują. Dee nie chciała, żeby Luke Ransom dowiedział się o niej czegokolwiek. Był tak spostrzegawczy, taki przenikliwy, że wystarczyłoby jedno nieostrożne słowo, żeby domyślił się całej reszty.

Wreszcie zrozumiała, że ten obcy mężczyzna, w którego towarzystwie spędziła w Indiach kilka cudownych dni, tak bardzo ją pociąga, że mogłaby dla niego zrezygnować z samotności, poświęcić niezależność, a nawet zrzec się wolności. Doskonale wiedziała, że jeśli się zapomni, jeśli pozwoli ponieść się uczuciom, będzie musiała potem zapłacić słony rachunek, liczony w ilości wylanych gorzkich łez.

Wzdrygnęła się, kiedy poczuła wokół siebie ciepłe ramiona Luke'a. Wzdrygnęła się, a potem chętnie poddała się pieścizocie.

Luke ją przytulił, pochylił się nad nią i pocałował.

Nie miała ochoty myśleć w tej chwili o konsekwencjach ani o swoim mocnym postanowieniu, które z każdą chwilą stawało się coraz słabsze.

- Posprzątałam ze stołu, przygotowałam łóżka. Czy będzie mnie pan jeszcze dziś potrzebował? - usłyszeli nagle głos Kate.

Dee nie wiedziała, czy ma w niej sprzymierzeńca, czy może śmiertelnego wroga. Chyba, raczej wroga, bo ciepłe ramiona Luke'a przestały ją otaczać. Znów zostawił ją samą, samotną, zagubioną.

- Niczego więcej nie potrzebuję, Kate - odparł tak lekko, jakby zupełnie nic się nie stało, jakby gospodyni nie widziała ich w całkiem jednoznacznej pozie. - Dziękuję i dobranoc.

- Dobranoc państwu. - Kate pożegnała ich ciepłym uśmiechem.

Dee wiedziała, że przypadnie z kretešem, jeśli pozwoli jej odejść, jeśli zostanie z Lukiem sama, jeśli natychmiast nie weźmie się w garść.

Zebrała całą pozostałą jej jeszcze siłę woli i odsunęła się od Luke'a.

- Ja też już pójdę spać - powiedziała. - Dobranoc.

Przecisnęła się pomiędzy Lukiem a jego gospodynią i szybko poszła do swojego pokoju. Gdyby zrobiła to choć trochę wolniej, nieposłuszne nogi mogłyby wbrew jej woli zatrzymać się w miejscu i już nigdy nie zdołałyby uciec przed tym niebezpiecznym mężczyzną.

W pokoju czekały na nią walizki, lecz Dee nie miała ani siły,

ani ochoty, żeby je rozpakować. Padła na łóżko jak kłoda i zamknęła oczy. Pod powiekami przesuwają jej się różne obrazy. Wszystkie przedstawiały Luke'a.

Rano w zamku pojawili się ludzie, a wraz z nimi mnóstwo hałasu i rozgardiaszu. Zaczęły się przygotowania do wystawy.

Lukę także przez cały dzień był w ruchu. Czasami nawet zdawało się Dee, że jest jednocześnie w kilku miejscach naraz. Rozwiązywał problemy, podejmował decyzje, a kiedy przypadkiem się spotykali, zawsze był z nimi ktoś trzeci.

Wszyscy, nie wiedząc czemu, uznali Dee za drugą osobę po Luke'u i kiedy jego nie było w pobliżu, do niej zwracali się z pytaniami i wątpliwościami.

Nawet jej to odpowiadało. Nie płała się bez sensu, miała więcej pracy, a tym samym mniej czasu na myślenie o głupstwach.

- Czy nie mógłbym ustawić swojego stoiska gdzie indziej? - pytał jeden z wystawców. -

Wyznaczyliście mi punkt w samym kącie tej wielkiej sali. Chyba nie ma tu już innego miejsca, które byłoby tak daleko od drzwi.

- Rzeczywiście - zgodziła się Dee, odciągając niezadowolonego gościa na bok. - Nie przypadkiem umieściliśmy pańskie stoisko w tamtym kącie. Pan Ransom uważa, że najlepsze należy zawsze zostawić na koniec. Wie pan przecież, że on się bardzo interesuje porcelaną. Uważa, że pańskie wyroby są absolutnie wyjątkowe.

Rzeczywiście były wyjątkowe. Wyjątkowo paskudne. Dee zastanawiała się nawet, po co Bill zaprosił tego człowieka do wzięcia udziału w tej ekskluzywnej wystawie. Musiał nie mieć innego wyjścia.

Dee mówiła coraz szybciej, rozwijała cały swój talent mediatora. Wszystko po to, żeby nie dać po sobie poznać, że ona także nie gustuje w nowoczesnych wyrobach z porcelany.

- Widzi pan - pokazywała coraz mniej niezadowolonemu wystawcy duże witrażowe okno. Modliła się w duchu, żeby nie wychodziło na północną stronę. - Słońce przechodzi przez witraż dokładnie w tym miejscu. To kolorowe światło będzie doskonałym dodatkiem do pańskich wyjątkowych eksponatów. Goście przejdą najpierw obok innych stoisk i dopiero kiedy dotrą tutaj, zobaczą, na czym polega różnica.

Musieliby być ślepi, żeby tego nie zauważyć, pomyślała. Jak można nazywać sztuką coś tak brzydkiego? Pewnie dlatego Lukę upchnął te paskudztwa w kącie sali. Nie chciał, żeby pseudoartystyczne wyroby zbyt rzuciły się w oczy i psuły estetykę tej pięknej wystawy.

- Zobacz pan, że ludzie będą kupowali pańską porcelanę jak świeże bułeczki - zapewniła nieszczerze.

- Cieszę się, że pani też tak uważa - powiedział uradowany artysta i już bez sprzeciwów wrócił do przydzielonego mu stanowiska.

Dee była pełna uznania dla swojej inwencji i niezwykłego daru przekonywania.

Może rzeczywiście nie jestem tu tak całkiem niepotrzebna, pomyślała.

- Tamto okno wychodzi na południe - usłyszała nad uchem cichy szept.

Odwróciła się gwałtownie i byłaby się przewróciła, gdyby Lukę jej nie przytrzymał.

- Świetna robota, Dee - pochwalił. - Sam bym tego lepiej nie wymyślił.

Wcale się nie ucieszyła. To znaczy ucieszyła się z tego, że do okna jednak dociera jakieś światło, ale komplement Luke'a nie sprawił jej radości. Nie wiedzieć czemu, nagle przestała jej odpowiadać rola człowieka wynajętego do pracy. Poza tym wcale nie była pewna, czy pochwała była szczerą. Dee z pewnością dobrze pracowała. Jak na całkiem obcą osobę, nawet bardzo dobrze. Tyle że właścicielka pięknych koszulek na pewno byłaby stokroć lepsza w roli pani domu niż najlepszy nawet pracownik.

Dee poczuła ostre ukłucie w sercu.

Stało się, pomyślała ze zgrozą. Nie zdołałam się ustrzec i teraz przyjdzie mi za to zapłacić. A przecież od początku wiedziałam, że mnie na to nie stać!

Nazajutrz zaczęli się zjeżdżać goście. Nie było tłumów, ponieważ do Ransom Court nie można było dostać się bez zaproszenia, ale i tak liczba ludzi na dziedzińcu była imponująca. Zwłaszcza że każdy ze zwiedzających przyjechał z własnym szoferem i przynajmniej jednym członkiem ochrony.

Dee szczerze współczuła tym biednym bogaczom, którzy na krok nie mogli się ruszyć bez asysty obcych, choćby nie wiadomo jak zaufanych ludzi.

Szejk przyjechał z całym swoim dworem dwoma samochodami. Dee przyglądała się zaciekawiona mężczyznom ubranym w długie powiewne szaty.

- Szejk to ten w środku - szepnął jej do ucha Luke, gdy przechodził obok niej, żeby powitać gości. Szejk był przystojnym, wysokim mężczyzną o twarzy przypominającej drapieżnego ptaka. Jego przenikliwe oczy sprawiały takie wrażenie, jakby potrafiły widzieć przez ściany.

- Chodź, przedstawię cię. - Luke pociągnął ją za sobą.

- Nie chcę! - Próbowwała mu się wyrwać. - Dlaczego właśnie ja? Znajdź sobie kogoś innego, albo idź sam.

- Nie ma mowy. Gdybym sam miał wszystkich witać, to nie musiałbym prosić Billa o twoją pomoc. Mówiłem ci, że bardzo mi zależy na tym szejku.

Dee miała mętlik w głowie. Nie wiedziała, po co naprawdę ściągnięto ją do Ransom Court. Czuła jednak, że zgadzając się na przyjazd tutaj, popełniła koszmarny błąd.

Nie chciała, żeby Luke przedstawiał ją swoim gościom, zwłaszcza tym, na których najbardziej mu zależało. Nie mogła udawać pani tego zamku, skoro tak naprawdę była tylko jednym z dobrze opłacanych pracowników.

Ale przecież nie mogła szarpać się z Lukiem na oczach zwiedzających. Zresztą szejek okazał się całkiem sympatycznym człowiekiem.

Luke przywitał się z nim wylewnie, a potem powiedział po prostu:

- A to właśnie jest Dee.

Czyżby wcześniej o mnie rozmawiali? pomyślała. Nie miała czasu dokładniej się nad tym zastanowić, bo przenikliwe oczy szejka spojrzały na nią... całkiem zwyczajnie. Młody, bajecznie bogaty mężczyzna uśmiechnął się i serdecznie ucisnął dłoń Dee.

A więc ten bogacz też jest tylko człowiekiem, pomyślała. Czyżby wielki świat Luke'a Ransoma wcale tak bardzo nie różnił się od mojego świata? Oni wszyscy są tylko ludźmi, choć z daleka wydają się tacy nieprzeniknieni.

- Całkiem miły człowiek - powiedziała, gdy szejek poszedł oglądać wystawę. - Mam nadzieję, że znajdzie tu coś, co mu się spodoba.

- Nie przyjechał tu dla przyjemności.
- Nie dla przyjemności? - zdziwiła się Dee. - Więc po co?
- Organizuje muzeum w stolicy swojego kraju - odparł Luke. - Przyjechał do Londynu w misji dyplomatycznej, a wystawę odwiedza przy okazji. Chciał zobaczyć, czy nie znajdzie tu czegoś, co można by dodać do eksponatów, które już zgromadził. No i oczywiście spotkać się z Manojem.
- Z Manojem?

W zamęcie przygotowań do wystawy Dee całkiem zapomniała, że Manoj z rodziną także powinien się tu lada chwila pojawić.

- Szejk chciałby prosić Manoja, żeby również w jego kraju wygłosił serię wykładów. Za własne pieniądze wybudował i wyposażył najnowocześniejsze na świecie centrum medyczne. Nic dziwnego, że chciałby tam ściągnąć najlepszych specjalistów z całego świata. Pragnie też uruchomić wydział medycyny na tamtejszym uniwersytecie, żeby wychować rodzimych specjalistów. Właśnie do tego jest mu potrzebny Manoj.

- Ty chyba dobrze znasz tego szejka.

- Studiowaliśmy razem. On, Manoj i ja - powiedział Luke tak zwyczajnie, jakby opowiadał o normalnych, korzystających ze stypendiów socjalnych młodych ludziach. - Szejk bardzo dba o swoich poddanych. Dla niego pieniądze są przede wszystkim środkiem do osiągnięcia szlachetnego celu. I ciężarem, który musi znosić dla dobra swych poddanych, dodała w myślach Dee.

Wystarczyła chwila, żeby zaczęła całkiem innym okiem patrzeć na tego egzotycznie ubranego człowieka i jego czujnych ochroniarzy.

- Coś ci przyniosłem - zaczepił ją jeden z ochroniarzy Billa, kiedy przechodziła pomiędzy stoiskami. -
Załóżę się, że nie miałaś czasu, żeby sobie kupić gazetę. - Wcisnął jej w rękę złożony egzemplarz. -
Pomyślałem sobie, że pewnie chciałabyś to zobaczyć, więc kupiłem drugą. Specjalnie dla ciebie.
Masz całkiem ładną fotkę z panem Ransomem. Pamiątka na całe życie.
Dee natychmiast rozłożyła gazetę. To przekłete zdjęcie zamieszczono na pierwszej stronie. A pod nim
podpis: „Znany antykwariusz wraca do domu z kolejnej wyprawy po skarby”. Wredny podpis
sugerujący, że tym razem skarbem jest właśnie Dee.

- A niech to! - rozzłościła się nie na żarty.
- Podobno obiektyw zawsze mówi prawdę. - Ochroniarz uśmiechnął się do niej.
- Ten kłamie jak z nut - warknęła Dee.
- Oliverowi też kupiłem tę gazetę - pochwalił się ochroniarz. - Powiedział, że to rewelacja.
- O, nie! Tylko nie to - jęknęła Dee.
- Oliver prosił mnie, żebym ci przypomniiał, o co się z nim założyłaś - dobił ją ochroniarz.
- A o co się założyła? - zapytał Luke, który jak zwykle pojawił się nie wiadomo skąd i nie wiadomo po
co w całkiem niewłaściwym miejscu. - Kim jest Oliver?

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Przepraszam - mruknęła Dee. - Obiecałam załatwić jedną sprawę.

Teraz już mogła odejść, niczego nie wyjaśniając. A musiała to zrobić i to jak najszybciej. Za nic w świecie nie chciała, żeby Lukę zobaczył zdjęcie. Nie chciała widzieć jego uradowanej miny, nie chciała słuchać komentarzy na temat głupiego wyrazu swojej twarzy.

Dee nie miała wątpliwości, że kiedyś ta gazeta wpadnie mu w ręce. Wolała jednak, żeby stało się to, gdy jej już w zamku nie będzie. Oszczędziłaby sobie upokorzenia, które z pewnością czekałoby ją dzisiaj.

- Oliver jest jej... - usłyszała za plecami głos ochroniarza. - Uwaga! Przeładował pan tę półkę i zaraz się przewróci.

- Dee! - wołał za nią Luke. - Zaczekaj!

Nie miała zamiaru czekać. Nie chciała z nim rozmawiać, nawet widzieć go nie chciała. Nie życzyła sobie opowiadać mu o głupim zakładzie, jaki zrobiła z własnym bratem. I na pewno nie zamierzała pokazywać mu tej przeklętej gazety.

Wkręciła się pomiędzy zwiedzających, lecz Luke deptał jej po piętach. Gazeta dosłownie paliła dłonie Dee.

Na szczęście któryś z gości zatrzymał Luke'a na chwilę i Dee mogła się rozejrzeć za jakimś miejscem, w którym dałoby się ukryć gazetę ze zdjęciem.

W pobliżu znajdowało się stoisko z porcelaną. Nie tamtą paskudną, ale prawdziwą starą porcelaną. Zgromadzone na nim wazony byłyby doskonałym schowkiem, lecz Dee nie mogła skorzystać z żadnego z nich. Czujni na wszystko ochroniarze na pewno zauważyliby, że wkłada coś do wazonu. Dopiero byłby wstyd, gdyby to coś wyciągnęli! Nie tylko Luke miałby uciechę, ale i zupełnie obcy ludzie obecni na wystawie.

Znajdę jakieś lepsze miejsce, pomyślała, zauważywszy kątem oka, że Luke jest już wolny i znów przeciska się w jej stronę.

Pomyślała, że najbezpieczniejszym schowkiem będzie jej własna walizka. Tam na pewno nikt nie ośmieli się grzebać.

Kłamiesz, zbesztła samą siebie. Nie chodzi ci o żaden schowek! Nie chcesz wyrzucić tej gazety, ot co. Najchętniej byś ją zachowała na pamiątkę.

Nawet przed sobą nie miała zamiaru się do tego przyznawać.

Zdołała wymknąć się z sali i na chwilę wpaść do swojego pokoju. Ukryła gazetę na samym dnie walizki.

Wreszcie mogła spokojnie wrócić na dół.

Podczas kolacji, do której tym razem usiadło ponad dwadzieścia osób, także musiała pełnić honory pani domu. Wolałaby siedzieć przy stole wśród innych ludzi, zwłaszcza niedaleko ochroniarzy Billa, których dobrze знаła, ale Luke posadził ją naprzeciwko siebie, na drugim końcu bardzo długiego stołu.

Musiała, wbrew swojej woli, patrzeć na Luke'a, nie zdołała się oprzeć urokowi błyszczących cętek w jego szatańskich oczach. Cały czas o nim myślała.

Zastanawiała się, dlaczego nie próbował z nią więcej rozmawiać. Dopiero teraz zainteresowała się, co tak ważnego miał jej

do powiedzenia, że przez cały dzień uganiał się za nią z uporem godnym lepszej sprawy.

Nie miała wątpliwości, że ochroniarz Billa powiedział mu, kim jest Oliver, chociaż to akurat nie powinno Luke'a nic a nic obchodzić. Tym bardziej zakład, który zrobiła z bratem, nie był na tyle istotny, żeby z jego powodu Luke musiał ją ścigać po całej sali wystawowej.

Na pewno chodzi mu o zdjęcie w gazecie, domyśliła się wreszcie. Ktoś zdążył mu je pokazać!

Dlaczego ten fotograf pstryknął aparatem właśnie w takiej chwili? Dlaczego ja musiałam zrobić taką idiotyczną minę?

A może Luke pomyślał, że specjalnie patrzyłam na niego takim ciełym wzrokiem, żeby go skompromitować, przeraziła się nie na żarty. Ze chciałam dać do zrozumienia, iż coś nas ze sobą łączy? Uznał, że ja tylko udaję niezależność, a w rzeczywistości poluję na bogatego męża?

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była pewna, że właśnie o tym Luke chciał z nią porozmawiać. Pewnie zrobiłby jej awanturę, kazał zaprzeczyć temu, co sugerowała ta fotografia. Mógłby ją zmusić, żeby publicznie oświadczyła, że ona, Dee Tredinnick, nie rości sobie do niego żadnych praw.

Doszła do wniosku, że im później dojdzie do tej rozmowy, tym lepiej zdoła się do niej przygotować. Z kamienną twarzą oświadczy, że nie tylko nie rości sobie żadnych pretensji do Luke'a Ransoma, ale też nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby zrobić coś tak bardzo uwłaczającego jej godności osobistej. Powie mu, że nie zmieniła i nigdy nie zmieni stanowczej decyzji o niewiązaniu się z żadnym mężczyzną.

Manoj przyjechał następnego dnia po południu. Dee odetchnęła z ulgą. Obecność jego rodziny gwarantowała jej, że ani na chwilę nie będzie musiała zostać z Lukiem sama.

Chłopcy od razu uwiesili się rąk Dee. Jeden przez drugiego, opowiadali jej o podróży z Delhi, o tym, jak wygląda samolot, co widać z okien i co jedli na pokładzie. Dee słuchała uważnie, wypytywała o szczegóły, jakby sama nigdy nie podróżowała tym środkiem lokomocji. Była szczęśliwa, że ma tak absorbujące towarzystwo.

Gdy dzieci poszły spać, Dee i Lukę oprowadzili indyjskich gości po terenie opustoszałej o tej porze wystawy.

Dee bardzo się starała, żeby rozmowa nie urwała się ani na chwilę. Opowiedziała nawet o swojej przygodzie z wystawcą porcelany i o tym, jak sprytnie sobie z nim poradziła.

- Nie dziwię się, że niczego nie sprzedał - roześmiała się Gita, oglądając wciśnięte w sam kąt sali wystawowej stoisko. - Ja też nie lubię tej tak zwanej sztuki nowoczesnej. W muzeum to się nawet nieźle prezentuje, ale trudno trzymać coś takiego w domu. Zauważyłam, że sprzedano kilka pierścionków z indyjskiej kolekcji - dodała.

Jednym z pierwszych przedmiotów sprzedanych na tej wystawie był pierścionek ze złotej siateczki ze świetlistym brylantem. Ten sam, który tak bardzo podobał się Luke'owi i który Dee miała na serdecznym palcu podczas podróży z Delhi do Londynu.

Dee nawet się zastanawiała, czy to nie Lukę go kupić. Doszła do wniosku, że na pewno on i że to prezent dla Mari, więc przestała się tym zajmować. Tak było bezpieczniej i znacznie mniej bolało. To niesprawiedliwe, buntowała się w duchu. Przecież ja pierwsza go nosiłam.

I zaraz przestraszyła się tej myśli. Przestraszyła się wszystkich dziwnych myśli, które od jakiegoś czasu nie dawały jej spokoju. W żaden sposób nie pasowały do samodzielnej kobiety marzącej o zawodowym sukcesie.

Następnego dnia Lukę, Dee, Manoj i Gita z dziećmi pojechali do pobliskiego miasteczka słynącego ze starożytnego zegara z kowalem.

Chłopcy patrzyli jak urzeczeni na kowala, który co kwadrans wychodził ze swego domku w zegarze i bił młotem w kowadło tak głośno, że słycać go było w całym miasteczku.

Lukę musiał im oczywiście wytłumaczyć, jak działa mechanizm, a potem obiecał duże lody, żeby zgodzili się wreszcie odejść od zegara.

Po wspianym lunchu w miejscowej restauracji pojechali na wrzosowiska.

Dzieciaki szalały z radości. Chłopcy na wyścigi zdobywali kolejne wzgórza. Wybiegali naprzód, potem wracali do rodziców, jak małe pieski, które muszą się wyhasać.

Dorośli powoli wdrapywali się za nimi. Ścieżka wspinała się stromo pod górę, więc Manoj podał rękę Gicie. Lukę też chciał pomóc Dee.

- Sama sobie poradzę. - Spróbowała się uchylić, lecz Lukę jej nie pozwolił. Chwycił ją za rękę i wciągnął na stromiznę.

Trzymał tak mocno, że aż zabolalo, ale Dee nie mogła się wyzwolić. Jeśli oczywiście nie chciała wzbudzić sensacji.

Zrozumiała, że teraz Lukę już jej nie puści. Przynajmniej dopóty, dopóki nie powie tego, co zamierzał. Szybko wpadła na genialny pomysł. Wyciągnęła drugą rękę

i podała ją Gicie. W ten sposób skutecznie uniemożliwiła Luke'owi odciągnięcie jej na bok.

Odroczyła egzekucję, choć nie wiedziała, na jak długo.

- Chodźcie do nas, chłopcy! - krzyknęła do dzieci. - Zrobimy długiego węża.

W ten sposób całą szóstką weszli na sam szczyt wzgórza.

- Jestem wykończona - sapnęła Dee, gdy znaleźli u celu. - Zupełnie nie mam siły.

- To dlatego, że prawie nic nie jesz. - Gita patrzyła na nią zatroskana. - Ledwie spróbowałeś tych pysznych nadziewanych oliwek, które nam podano na lunch. Nie lubisz oliwek?

- Nie przepadam za nimi - skłamała Dee.

Przez kilka ostatnich dni nakłamała więcej niż przez całe dotychczasowe życie. Pomyślała nawet, że powinna wreszcie przestać, bo jeśli to dłużej potrwa, to już nigdy się nie odzwyczai od mówienia kłamstw.

- Ona woli Olivera - odezwał się Luke.

Co w niego wstąpiło, zdziwiła się Dee. Po co się czepia mojego brata?

Już miała powiedzieć coś niegrzecznego, ale Gita ją uprzedziła. Może wyczuła rosnące z każdą chwilą napięcie? Nie chciała dopuścić do awantury?

- Cóż za wspaniały widok! - zawołała Gita z mocno przesadzonym entuzjazmem.

Widok naprawdę był dość niezwykły. Pod ich stopami rozciągała się rozległa dolina, z małym miasteczkiem leżącym pośrodku niej. Wyglądało to jak duża plastyczna mapa. Chłopcy pokazywali na niej miejsca, które wcześniej oglądali z bliska, a Luke służył im za rozjemcę w co chwila wybuchających sporach.

W końcu puścił dłoń Dee, ale ona nie wierzyła, żeby tak łatwo zrezygnował z tego, co sobie postanowił. Kiedy schodzili na dół, dla bezpieczeństwa wzięła pod rękę Gite. Oczywiście dla własnego bezpieczeństwa.

- Czy wyście się pokłócili? — zapytała Gita cicho, żeby idący przed nimi mężczyźni jej nie usłyszeli.

- Skądże. Nie znamy się aż tak dobrze, żeby się kłócić.

- Szkoda - powiedziała Gita.

Czyżby usłyszała, że słowa Dee tak jakoś smutno zabrzmiały?

- Jak to się nazywa? - Starszy z chłopców podbiegł do Dee i pokazał kępę drobniutkich żółtych kwiatów rosnących tuż obok ścieżki.

- Kocanki piaskowe - odparła automatycznie.

Nie wytłumaczyła, co to za roślina, jak bardzo jest pożyteczna. Tym razem nie mogła poświęcić dzieciom tyle uwagi, ile im się należało. Koniecznie musiała sobie przemyśleć to, co usłyszała od Gity. Bardzo chciała wiedzieć, dlaczego żona Manoja uważała, że Luke i Dee powinni się poznać co najmniej tak dobrze, żeby móc się od czasu do czasu pokłócić.

Gdyby ona wiedziała, co tu się może stać, jak w końcu zostaniemy sami, pomyślała Dee.

Nazajutrz całą szóstką wybrali się na mecz krykieta.

Mina Luke'a od rana nie wróżyła niczego dobrego. Dee poważnie się obawiała, że tym razem gotów użyć siły, byleby tylko wreszcie z nią porozmawiać.

Próbował odciągnąć ją na bok, kiedy szli ścieżką pośród bukowego lasu. Na szczęście nieocenione dzieci i teraz przysły jej z pomocą.

Chłopcy ani na chwilę nie zostawili ich samych. Wypytywali ukochanego wujka o miejscową drużynę, jej historię i wyniki meczów z ostatniego roku.

Lukę nigdy im nie odmawiał, więc i tym razem wyczerpująco odpowiadał na wszystkie pytania. Na razie przestał się zajmować Dee.

Błagała dobry los, żeby jej szczęście nigdy się nie skończyło. Prośby zostały wysłuchane. Kapitan drużyny zaprosił Luke'a i Manoję do wzięcia udziału w meczu. Oczywiście chłopcy też natychmiast zaczęli się napraszać, błagać, żeby przyjęto ich do drużyny.

- Nic z tego, jesteście za mali - oświadczył kapitan. - Jeszcze zdążycie się nagrać. Na razie patrzcie, jak my to robimy i uczenie się na naszych błędach.

Dee zmusiła się, żeby nie myśleć o niczym innym, tylko o grze. Nie chciała rozpamiętywać podróży do Indii, z którą wiązała tyle nadziei. Nie chciała się zastanawiać, dlaczego ta podróż okazała się zębna dla jej mocnego postanowienia. Była na siebie wściekła. Ona niczego się nie nauczyła. Nawet na własnych błędach. Wystarczyło kilka dni w egzotycznym kraju, kilka miłych słów przystojnego rudzielca, żeby zrezygnowała z samodzielności. I to dla kogoś, kto już od dawna jest zaręczony.

Dobrze przynajmniej, że nie żonaty, jak Alan, pomyślała gorzko.

Otrząsnęła się z niewesołych myśli i skupiła na grze.

- Świetny rzut! - zawołała, widząc jak Lukę celnie rzuca piłkę.

- Odkąd to interesujesz się krykietem? - zażartowała Gita.

- Odkąd twoi synowie nauczyli mnie grać - odpowiedziała ze śmiechem Dee. - Jak można kibicować, jeśli nie zna się zasad gry?

Znowu skłamała. Wcale nie interesowała się grą, tylko jed-

nym z graczy. Wysokim, rudym mężczyzną, z którego poczynañ na boisku mogła być dumna. Duma tak ją rozpierała, że za każdym razem, kiedy Lukę zdobywał punkt dla swej drużyny, Dee nagradzała go rześistymi brawami. Ręce ją bolały od tego klaskania. Opuściła je dopiero wtedy, kiedy kątem oka dostrzegła rozbawione spojrzenie Gity.

Naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje, myślała szczerze zmartwiona. Jeśli tak dalej pójdzie, to w następnym sezonie sama zacznę grać w krykieta.

Wtem na boisko wpadł mały terier. Ganiał za piłką jak oszalały i nie zwracał najmniejszej uwagi na nawoływania właściciela. Trzeba było schwytać psiaka i siłą wyprowadzić z boiska.

- To takie typowe dla wiejskiego krykieta - skomentował to wydarzenie jeden z siedzących obok Dee kibiców. - W czasie poprzedniego meczu przez boisko przemaszerowała cała rodzina łabędzi. Dwa dorosłe i pięć piskląt. To dopiero była zabawa!

Dee przypomniała sobie o piesku, któremu nie zdołała pomóc. Oczywiście też z winy Luke'a.

- Czy wasi przyjaciele znaleźli w końcu swojego pieska? - zapytała.

- Jakiego pieska? - zdziwiła się Gita.

- Tego, po którego do was dzwonił. Siedział w krzakach koło werandy ostatniego dnia mojego pobytu w górach. Twój synowie mówili, że bawili się z nim, kiedy byli u kolegi.

- To była zabawka, a nie prawdziwy pies.

- Ale oni mówili, że piszczał.

- No bo rzeczywiście piszczał - roześmiała się Gita. - Rodzice tego chłopca omal nie oszaleli przez to piszczenie. Wiesz, to takie nakręcane zabawki. Chodzą, wywijają koziółki, szczekają i piszczą. Całe szczęście, szybko się psują.

- Myślałam, że chłopcy opowiadali o prawdziwym piesku.
- Obaj marzą o psie, ale Manoj nie chce o tym nawet słyszeć. W Indiach panuje wścieklizna i domowe zwierzęta bardzo często na nią zapadają. Może gdybyśmy zdecydowali się zamieszkać za granicą...
- Wścieklizna? - przeraziła się poniewczasie Dee. - Lukę mówił, że wasz sąsiad telefonował w sprawie psa.
- Zgadza się. - Gita skinęła głową. - Chciał nas zawiadomić, że w okolicy błąka się jakiś pies, który zdradza bardzo podejrzane objawy. Jak się potem okazało, rzeczywiście miał wściekliznę. Biedne stworzenie. Strażnik zastrzelił go tego samego wieczoru, a potem zawiadomił nas o wynikach sekcji. A więc dlatego strzelano, pomyślała Dee. Nie było żadnych fajerwerków.
- Nagle ujrzała świat w zupełnie innych barwach. Jakby zasłona spadła jej z oczu. Zobaczyła skąpaną w słońcu prostą drogę, którą naprawdę chciała przejść przez życie. Przestraszyła się, że za późno ją dostrzegła, że już nie ma szans, aby znaleźć się na tej drodze.
- Przegrałam swoje życie, jęknęła w duchu.
- Dlatego Lukę tak dziwnie się wtedy zachował - wyjaśniła Gita. - Usłyszał popiskiwanie psa i domyślił się, co się dzieje. On już wcześniej miał do czynienia z wścieklizną. Kiedy wróciliśmy na werandę i zobaczył, jak podchodzisz do tych krzaków. .. Nigdy nie widziałam go takim przerażonym.
- Nie powiedział mi, że ten pies miał wściekliznę - bąknęła Dee.
- Wtedy jeszcze nie był pewien i nie chciał cię straszyć. Mówiłam ci, że dowiedzieliśmy się o tym dopiero po sekcji.

Dee przeraziła się nie na żarty. Tym razem nie chodziło jej o nią czy jakieś głupie zasady. Bała się o życie Luke'a. Koniecznie musiała z nim porozmawiać.

Wracali do Ransom Court tą samą ścieżką wśród bukowych lasów, którą rano przyszli do miasteczka. Dzieci pobiegły przodem, zbierając liście zaścielające ziemię grubym barwnym dywanem. Ścieżka była kręta, więc w końcu także Gita i Manoj zniknęli im z oczu.

Dee postanowiła natychmiast wykorzystać okazję. Miała świadomość, że to jej ostatnia szansa. Jeśli w ogóle jeszcze jakąś miała.

Zatrzymała się i odwróciła do idącego za nią Luke'a. Dla pewności jeszcze go przytrzymała.

- Zaczekaj - poprosiła. - Muszę z tobą porozmawiać. Bardzo się zdziwił, ale tym razem nie przejmowała się tym,

co Luke sobie o niej pomyśli. Musiała się dowiedzieć, jak on się czuje i czy na pewno nic mu nie zagraża.

Doskonale pamiętała, jak chory pies rzucił się na nogę Luke'a, kiedy ten podniósł Dee do góry, uchronił przed niebezpieczeństwem.

Ryzykował zdrowie, a może nawet życie, żeby ją uratować.

- Ten chory pies - wyjąkała. - Tamtego wieczoru w górach... Skoczył na ciebie. Dotykałeś go? Czy nic ci nie zrobił?

Nieświadomie powtórzyła podobne pytanie, które wtedy zadał jej Luke i którego wtedy nie rozumiała. Teraz już wszystko stało się jasne. Bała się jak nigdy dotąd.

- Luke, proszę cię - błagała. - Muszę wiedzieć.

- Dee, kochana moja - westchnął zamiast odpowiedzi. Przytulił ją do siebie, ale tym razem jej to nie wystarczyło.

Bała się coraz bardziej.

- Proszę cię - powtórzyła. - Muszę wiedzieć.
- Nie miał żadnych szans. Był zbyt słaby, żeby mnie dopaść.
- Na pewno? Na pewno mnie nie oszukujesz?
- Przestań, kochanie - poprosił cicho. - Przestań się wreszcie dręczyć. Dlaczego miałbym cię oszukiwać? Czy sądzisz, że chciałbym cię prosić o rękę, gdybym podejrzewał, że zaraziłem się wścieklizną?
- O rękę? - Dee własnym uszom nie wierzyła. - Ale... A co się stanie z Mari?
- A co z Oliverem?
- Oliver jest moim bratem.
- A Mari to moja siostra.

Oboje jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Szczęśliwym, radosnym śmiechem, uzdrawiającym śmiechem przez łzy.

Luke przygarnął ją do siebie, całował jej oczy, nos, policzki, całował rozchylone usta.

- Myślałam, że nasz ochroniarz wyjaśnił ci, kim jest Oliver - mruknęła Dee, kiedy już mogła mówić. - Sama słyszałam...

- Chciał to powiedzieć. Nawet zaczął, ale nie zdążył dokończyć zdania. Półka się zachwiała i musieliśmy ją łapać. Potem ktoś go odwołał... Nie masz pojęcia, jak się denerwowałem. Nie mogłem przecież wypytywać twoich kolegów, a ty nie chciałaś ze mną rozmawiać.

- Gdybym wiedziała - westchnęła Dee.

- Teraz już wiesz. - Pocałował ją w czubek nosa. - Ale nie rozumiem, jak to się stało, że Kate nie powiedziała ci o Mari. Podobno zostawiła w twoim pokoju jej nocną bieliznę.

- Kate wspomniała mi o bieliźnie, ale nie powiedziała, do kogo należy - roześmiała się Dee.

O, tak, teraz mogła się śmiać. Choćby przez całą resztę życia.

- Nie masz pojęcia, jak zazdrościłem temu twojemu Olive-rowi - przyznał się Luke. - Dlatego tak cię prześladowałem. Czy zdołasz mi przebaczyć?
- Nie muszę ci niczego wybaczać. Gdybym przed tobą nie uciekała, wszystko wcześniej by się wyjaśniło. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cierpiałam przez tę twoją Mari.
- Luke pochylił się nad nią, pocałował czekające na niego usta. Przebaczali sobie tak długo, aż Dee straciła oddech.
- Myślałam, że się na mnie złościsz z powodu tego zdjęcia
- wyznała, kiedy przestali się całować - bo sądzisz, że chciałam cię skompromitować przed dziennikarzami, żeby...
- A ja miałem nadzieję, że kiedy zobaczysz to zdjęcie, zrozumiesz, jaka z nas dobrana para.
- Naprawdę tak myślisz?
- Naprawdę. - Pocałował ją w czoło. - Pomyśl tylko, ile czasu straciliśmy niepotrzebnie.
- Zupełnie niepotrzebnie - zgodziła się Dee. - Chyba od początku cię pokochałam, tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy.
- Ja dokładnie wiem, kiedy cię pokochałem. Od pierwszego wejrzenia, jak tylko zobaczyłam cię w tamtym hotelu.
- Byłam spocona, brudna...
- I piękna jak żadna inna kobieta - dokończył za nią. Jak zwykle, tylko że tym razem Dee ani trochę to nie przeszkadzało.
- Prosto z tego hotelu pojechałem do Gity, błagać ją, żeby zaprosiła nas oboje na kolację. Uprosiłem ją, żeby się dowiedziała, czy przypadkiem nie jesteś zaręczona. Wprawdzie powiedziałaś, że przyjechałaś sama, ale chciałem mieć pewność, że nie zostawiłaś w Anglii żadnego narzeczonego.
- Rzeczywiście - przypomniała sobie Dee. - Gita mnie o to zapytała.

- A ty jej odparłaś, że chcesz się poświęcić karierze zawodowej i w ogóle nie zamierzasz wychodzić za mąż. Byłem zrozpaczony. Bałem się, że nie zdołam cię przekonać.
 - Nie traciłeś czasu - pochwaliła go Dee. - Natychmiast przejąłeś kontrolę. Nade mną i nad moją pracą. Okropnie mnie to złościło.
 - Przeraziłem się, kiedy pomyślałem, że sama jedna miałabyś przewozić te klejnoty.
 - Wiedziałam, co ryzykuję. Przeszłam bardzo trudne szkolenie i umiem radzić sobie z niebezpieczeństwem. Nie miałaś racji, mówiąc, że Bill nie dba o swoich kurierów.
 - Przecież wiem o tym. Od początku wiedziałem. Gdyby chodziło o jakąś inną kobietę, nigdy bym nie podał w wątpliwość solidności twojego szefa. To miłość zrobiła ze mnie tchórza. Dobrze, że Gita zgodziła się zaprosić cię w góry. Mogłem mieć pewność, że nikt mi ciebie nie odbierze.
 - Ty szatanie! - roześmiała się uszczęśliwiona Dee.
 - Oddałbym duszę diabłu, byleby tylko cię zdobyć - mruknął Luke, znów biorąc ją w ramiona. Całowali się długo, tulili się do siebie szczęśliwi, że jednak się odnaleźli, że w końcu zdołali się porozumieć.
 - Nie mogę się doczekać, kiedy przedstawię cię rodzicom - powiedział potem Luke. - No i oczywiście Mari. Zobaczysz, że od razu cię polubią.
 - A my wkrótce będziemy mieli chrzciny. Przy tej okazji będziesz mógł poznać całą moją rodzinę. Z moim malutkim bratankiem włącznie.
- Właściwie dopiero teraz przypomniała sobie o rozmowie z bratem. Oliver zadzwonił specjalnie po o, żeby jej powiedzieć, iż urodził mu się syn.

Czyżby to było dziś rano, zdziwiła się Dee. Wydawało jej się, że minęły co najmniej dwa lata.

- Mam nadzieję, że im się spodobam. - Luke naprawdę miał wątpliwości.

- Od razu cię pokochają - zapewniła go Dee. - Zwłaszcza mama. Od lat próbuje mnie przekonać, że jednak powinnam wyjść za mąż. Pod tym względem jest taka sama jak Gita. Uważa, że wszystkie kobiety są stworzone do małżeństwa.

- Kiedy się pobierzemy, Dee? - zapytał niepewnie Luke. - Chciałbym, żeby stało się to jak najprędzej.

- Przecież nawet nie jesteśmy zaręczeni - roześmiała się uszczęśliwiona.

- Mam coś dla ciebie. - Luke wygrzebał z kieszeni złotą plecionkę ze świetlistym brylantem, najpiękniejszy klejnot maharadzów. Delikatnie ujął Dee za rękę i wsunął pierścionek na serdeczny palec jej dłoni. - Wiem, że będzie pasował. Specjalnie sprawdziłem w Delhi. Zauważyłem, że tobie też się spodobał.

- Bardzo - westchnęła oczarowana.

Już dawno zapomniała o wolności, niezależności, o całym wielkim świecie. Teraz Luke był jej całym światem.

- Od kilku dni noszę go w kieszeni - poskarżył się. - Przez cały ten czas ani razu nie mogłem spotkać się z tobą na osobności.

A ja przed nim uciekałam, pomyślała bardziej ubawiona niż zła na siebie. Unikałam szczęścia, które już dawno mogłam mieć na własność.

Nieporozumienia przeszły do historii. Teraz Luke i Dee mieli przed sobą wspólną przyszłość, tak piękną jak czerwono-złoty dywan z liści, który jesień rozesała im pod stopami.

Luke podniósł dłoń Dee do ust. Całował po kolei wszystkie

palce. Ten, na którym lśnił zaręczynowy pierścionek, zostawił sobie na koniec.

- Jest taki piękny. - Dee nie mogła się napatrzeć na klejnot. Należał do niej, a przecież jeszcze kilka dni temu nawet

marzyć o tym nie śmiała. W głowie jej nie powstało, że oprócz pierścionka dostanie także miłość Luke'a.

- Nie może się równać z tobą. Zresztą nic nie może. Całowali się długo, zapominając o bożym świecie. Lecz świat o nich nie zapomniał. Przybiegł pod postacią dwóch małych chłopców, nawołujących, zaniepokojonych, dlaczego tak długo ich nie ma, czy ciocia i wujek przypadkiem nie zgubili się w jesiennym lesie.